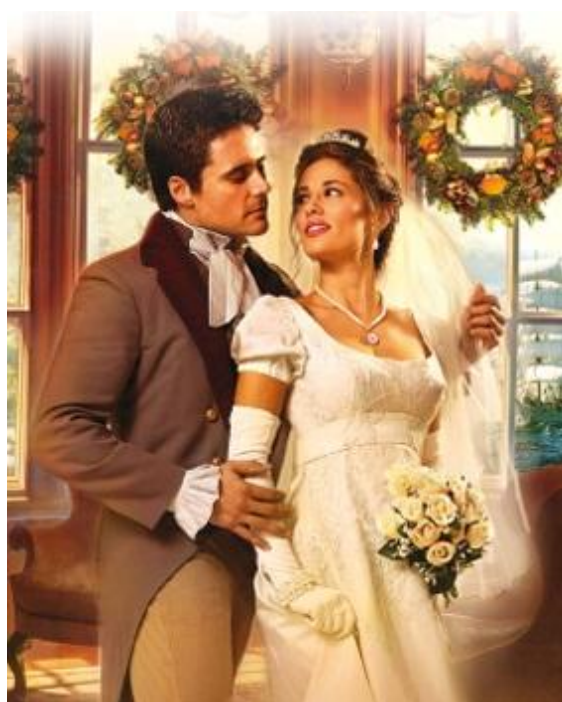




Nicola Cornick



Pocałunek pirata

Special - „Weselne dzwony”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Suffolk, Anglia, listopad 1808 r.

Nic się tu nie dzieje...

Lucinda Melville z westchnieniem odłożyła pióro. Przez otwarte okno wpadało do sypialni mroźne zimowe powietrze, przesycone zapachem morza i sosen. Niosło z sobą odgłosy fal rozbijających się o skały i pohukiwanie sowy gdzieś w lesie. Na ciemnym niebie jasno świecił księżyc w pełni. Romantyczna noc, jakby stworzona dla kochanków, ale Lucinda czym innym miała zajętą głowę.

Ponownie sięgnęła po pióro.

Nic się tu nie dzieje... ale nie myśl, proszę, że się skarżę, Rebeko. Jestem Ci bardzo wdzięczna, że znalazłaś mi miejsce u pani Saltire. Po ślubie Eustachia (zostanie żoną nudnego, acz zacnego pana Leytonstone'a), czyli zaraz po Nowym Roku, przyjdzie mi poszukać czegoś i zgodzić się za guwernantkę w którymś z okolicznych majątków.

Woodbridge to urocze miasteczko. Spotykamy się na herbatkach i potańcówkach w resursie, bywamy też w teatrze, o ile przedstawienie nie nazbyt pikantne, ma się rozumieć. Jednym słowem, miło i godziwie przepędzamy czas.

Przerwała pisanie, zamyśliła się. Przed wielu laty był w jej życiu czas barwny, pełen przygód, ale minął bezpowrotnie i dawno zdążyła o nim zapomnieć.

Przyłożyła suszkę do kartki i zamknęła kasetkę z papeterią. Nie miała nic więcej do powiedzenia swojej przyjaciółce, nic się przecież nie działo. Zresztą i tak miała spędzić święta Bożego Narodzenia z Rebeką Kestrel i jej mężem, Lucasem, wtedy opowie, co będzie jeszcze do opowiedzenia.

Podeszła do okna, oparła łokcie na parapecie i zapatrzyła się w dal. Kiedy usłyszała od pani Saltire, że mają spędzić jesień w Midwinter, poczuła się trochę

nieswojo, bo Midwinter cieszyło się złą opinią po skandalu, który wybuchł, gdy przed pięciu laty schwytano groźną szajkę szpiegów francuskich. Lucinda była zdania, że to wysoce nieodpowiednie miejsce dla jej podopiecznej. Panna Eustachia Saltire była słodkim dziewczęciem, przy tym, niestety, osobką rozpaczliwie romantyczną, dlatego Lucinda poważnie się obawiała, że będzie poszukiwać za wszelką cenę świadków tamtych zdarzeń.

Pocieszała się, że wyobraźnię panny ostudzą nieco parantele z domem księcia Kestrela. Pani Saltire była bowiem daleką krewną księżnej i to właśnie księżna zaproponowała, by kuzynka przywiozła córkę na kilka miesięcy do Midwinter. Zważywszy na to, że ksiązę miał w rodzinie kilku kawalerów do wzięcia, a Stacey, jak w domu zwano Eustachię, swój pierwszy sezon w Londynie zakończyła bez pierścionka zaręczynowego na paluszku, pani Saltire chętnie przystała na propozycję. Ksiązę przysłał powóz, ruszyły w drogę i już od ośmiu tygodni bawiły w Kestrel Court.

Westchnęła ponownie. Niedługo będzie musiała poszukać sobie nowej posady, bo Stacey zaręczyła się z nudnym panem Samuelem Leytonstone'em, który miał całkiem przyzwoitą fortunę oraz ogładę.

W głębi duszy Lucinda była zdania, że Stacey mogła mierzyć wyżej, zamiast poprzestać na młodym człowieku o wzięciu i temperamentie staruszka, ale nie dzieliła się z nikim swoimi opiniami w tej materii. Pan Leytonstone był bogaty, stateczny i godzien zaufania, a to ważniejsze niż takie śmieszności jak namiętność czy galanteria.

Doskonale wiedziała, jak niebezpieczne mogą być porywy młodego serca, i nawet jeśli czasami zdarzyło się jej zatęsknić za odrobiną szaleństwa, szybko te tęsknoty tłumiała.

Wiedziała również wszystko o „robieniu partii”. W młodości nie przyciągała jakoś szczególnie uwagi mężczyzn, jako że ciemnoblonde włosy i błękitne oczy nie były akurat w modzie. Jej rodzice, skromny wikary i matka z pretensjami do

lepszego towarzystwa, byli zachwyceni, kiedy zaraz po ukończeniu edukacji dostała pierwszą posadę. Jednak właśnie wtedy wszystko zaczęło się komplikować.

Cztery długie lata nosiła zaręczynowy pierścionek wręczony przez młodzieńca, którego znała od dzieciństwa. Niestety, frant zapomniał o niej, kiedy tylko zniknęła mu z oczu. Był bystry, służył w marynarce, miał to „coś” i widoki przed sobą. Do Lucindy dotarła ponura wieść, plotka podawana z ust do ust przez ludzi karmiących się skandalami i kochających niszczyć spokój ducha innym. Otóż jej luby był złoczyńcą, szeptano. Porzucił służbę na okrętach Jego Królewskiej Mości i został... piratem.

I złamał Lucindzie serce. Wyszła za pierwszego, który poprosił ją o rękę, wdowca. A teraz miała dwadzieścia dziewięć lat i za sobą zamknięty rozdział młodzieńczych uniesień.

Ćma krążyła niebezpiecznie blisko świecy. Lucinda schwytała ją w dłonie, wypuściła na zewnątrz i zaraz się zaniepokoiła, że owad nie przetrwa mroźnej nocy. Kiedy zamykała okno, dojrzała kątem oka jakieś ledwie pochwytne poruszenie na skraju lasu, gdzie kończyły się ogrody Kestrel Court. Znieruchomiała z dłonią na ramie niedomkniętego okna, wyteżyła wzrok. Nikogo. Wiatr widać poruszał gałęziami drzew, cienie mamły oczy.

Najpewniej, pomyślała.

Lęły się w niej podejrzenia. Bo jeśli to Stacey wymyka się na schadzkę z jakimś Filonem pod umówionym jaworem? I - precz myśli przeraźliwa - zamierza z nim uciec w noc ciemną?

Zanim nudny, wszakoż majątny pan Leytonstone poprosił o rękę, pojawił się na widnokręgu fatygant, niejaki pan Owen Chance, oficer konnej straży przybrzeżnej, stacjonujący w Woodbridge. Jego zadaniem było strzec wybrzeża przed szmuglem i wyłapywać przemytników. Młodzieniec ów prosił matkę Eustachii o pozwolenie zabiegania o względy jej córki. Pani Saltire grzecznie, acz zdecydowanie odmówiła. Z właściwą sobie elegancją wyjaśniła, że pan Chance

wprawdzie ma dobre urodzenie, ale żadnego majątku i raczej go nie zbije w zapadłym Midwinter. Pan Owen Chance był młodzieńcem gładkim i nadzwyczaj miłym w obejściu i na tym polu nieszczęsny pan Leytonstone nie mógł się z nim równać. O ile pana Leytonstone'a z łatwością można było sobie wyobrazić w szlafmicy, w przypadku pana Chance'a było to niemożliwe, już prędzej

Stacey widziałyby go, zgadywała Lucinda, rycerzem na białym rumaku, a rekuza udzielona przez panią Saltire uczyniła go tylko tym bardziej godnym zainteresowania.

Polaty się łązy, kiedy pani Saltire uświadomiła córce położenie materialne rodziny. Wkrótce pan Leytonstone się oświadczył, został przyjęty, panna jakoś przycichła, potulnie pogodziła się z decyzjami matki, ale Lucinda miała swoje podejrzenia...

Czyżby Stacey żałowała, że się zaręczyła, a teraz pobiegła na schadzki z zabójczym panem Chance'em? Cóż... Lucinda pokręciła głową. Byłoby to nader nieroztropne. Nie dość, że pannie z dobrego domu nie przystało biegać na schadzki, to jeszcze mogła złapać zaziębienie w tak mroźną noc, i to nawet ze skutkiem śmiertelnym.

Minęła północ, najwyższa pora, by się kłaść. Zegar w holu wybił trzy kwadransy na pierwszą. Pani Saltire z pewnością spała już w najlepsze, wspomógłszy się laudanum, a Stacey, która tego dnia czytała z rozpalonymi policzkami jakiś romans awanturniczy, teraz musiała śnić o dawnych bohaterach, zamiast biec do lasu na spotkanie ich całkiem współczesnego odpowiednika.

„Nic się tutaj nie dzieje...”.

Już miała zaciągnąć zasłony, kiedy znowu dojrzała cień pod lasem. Tam, gdzie kończyły się ogrody Kestrel Court, jechał nieśpiesznie jakiś konny. Widziała jego sylwetkę w poświacie księżyca. Niepokojąco przypominał pana Chance'a, a wierzchowiec zdawał się całkiem jak jego rączka klaczka. Tak właśnie, w siodle, zobaczyła go pierwszy raz Stacey.

Zaskrzypiała deska, dało się słyszeć stąpanie na schodach. Lucinda aż zatchnęła się z wrażenia. Chwyliła pelerynę przewieszoną przez oparcie fotela i zarzuciła na ramiona. Jeszcze lichtarzyk ze świecą i już była na korytarzu. Nie pierwszy raz w swojej karierze guwernantki przychodziło jej zapobiegać porywom zgoła nieroztropnym. Nie chciała, żeby Stacey zrujnowała sobie życie i potem siała rutkę. Ot, kolejna starzejąca się z każdym rokiem panna respektowa na łaskawym chlebie krewnych.

Skrzypnięcie deski, stąpanie i w domu znowu zaległa cisza. Na ganku paliła się lampa, ale nocny stróż gdzieś się zapodział, chociaż drzwi były otwarte. Oburzona taką niesubordynacją służby, Lucinda przekręciła klamkę, wyszła na zewnątrz i zbiegła po stopniach na zwirowany podjazd. Płomień świecy zatańczył na wietrze i zgasł. Po chwili oczy przywykły do mroku rozświetlanego srebrną poświatą i Lucinda dojrzała postać przemykającą wzdłuż muru parkowego. Usłyszała też stukot podków o zmrożoną ziemię, dziwnie jednak stłumiony, takie ledwie co. Czyżby to rzeczywiście pan Chance przybywał po swoją oblubienicę? Już sobie wyobrażała tę historię w wydaniu pani Saltire, kiedy odkryje, że ukochana koteczka uciekła z nędzarzem. Pośpieszyła za cieniem, ale postać znikła już w sąsiadującym z parkiem lesie. Lucinda nasłuchiwała, usiłowała wyłowić jakiś odgłos, który naprowadziłby ją na trop. Cisza. Tylko szelest gałęzi na wietrze i szum morza.

Być może pomyliła się, uległa złudzeniu, a Stacey śpi spokojnie w swoim łóżku. Stąpanie, które doszło ją ze schodów, to musiał być ktoś ze służby. Mroźna noc nie sprzyjała ucieczce kochanków. Lucindzie zrobiło się głupio, już miała wracać do domu, kiedy w ostatnim przebłysku księżyca, który chował się właśnie za chmurę, zobaczyła wyraźniej sylwetkę mężczyzny czającego się przy bramie parkowej.

Widziała, czego on jeszcze nie dostrzegł, a mianowicie zbliżającego się jeźdźca. Zatchnęła się z przejęcia. Mężczyzna usłyszał ciche westchnienie i odwrócił twarz. Rozpoznała go w jednej chwili.

Przeszłość i teraźniejszość zderzyły się z sobą raptownie, stopiły w jedność. Lucinda zadrżała. Dojrzał ją, chciał coś powiedzieć. Owen Chance był coraz bliżej, czujny, baczący na to, co dzieje się wokół.

Lucinda instynktownie przyskoczyła do mężczyzny, położyła mu dłoń na ustach, wciągnęła głębiej w cień bramy i szepnęła do ucha:

- Cicho, po drugiej stronie jest konny ze straży przybrzeżnej.

Mężczyzna napiął mięśnie, gotów do walki, położył dłoń na pistolecie zatkniętym za pas. Obydwoje zamarli. Nigdy w życiu nie odczuwała jeszcze tak silnie czyjejś obecności. Słyszała jego oddech, czuła ciepło ciała, zapach... Zapach świeżego powietrza, skózanego kaftana, soli morskiej. Zapach przyprawiający o zawrót głowy. Przemknęło jej przez głowę, o zgrozo, czy jego usta też by smakowały morzem.

Zdawało się, że trwali tak całą wieczność w napięciu, oczekiwaniu... Wtem Owen Chance zaklął cicho, ściągnął wodze, klacz zarżała. Zawrócił i odjechał w stronę Woodbridge. Moment - i zniknął w ciemnościach.

Zdjęła dłoń z ramienia mężczyzny, wyprostowała się, on też się podniósł. Stali tak przez chwilę, przyglądając się sobie w blasku księżyca. Lucinda od momentu, kiedy go rozpoznała, niemal zapomniała, jak się oddycha. Dwanaście lat gdzieś zniknęło, znowu była zakochaną młodą dziewczyną. Jej pierwsza miłość. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś go zobaczy...

- Cóż, muszę ci podziękować. Uratowałaś mi skórę, pani. Nie miałem pojęcia, że ktoś najeżdża. - Pokręcił głową. - To stara sztuczka, tłumić odgłos podków miękką osłoną na kopyta. Omal nie wpadłem w jego łapy.

- Powinieneś być bardziej uważać. - Zdołała powiedzieć to spokojnie, choć była rozedrgana. Czyżby jej nie rozpoznał? Tak bardzo się zmieniła? Niemożliwe.

Sama rozpoznała go natychmiast. Poczwała gorycz. Nic dziwnego, że jej nie poznał. Zapomniał o niej, ledwie wyjechał. Zaczął nowe życie.

Uśmiechnął się.

- Posłucham twojej rady, pani. Powiedz mi, jak to jest... Dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet na sto podniosłoby taki krzyk, że zjechałby tu cały regiment straży przybrzeżnej.

Sama nie pojmowała, dlaczego mu pomogła. Miała dość powodów, by życzyć mu śmierci. Zadziałał widać pradawny instynkt, który każe ratować człowieka zagrożonego. Nie chciała wnikać w powody, które nią kierowały.

- Danielu... panie de Lancey, zrobiłam to dla twojej siostry - uciekła się do w miarę przekonującego wyjaśnienia. - Rebeka nie byłaby rada, gdybyś zawisł na szubienicy. Mogłam cię ocalić, więc ocaliłam.

- Czy my się znamy?

- Kiedyś się znaliśmy - odpowiedziała bez emocji.

Ujął jej twarz w dłonie i obrócił ku światłu księżyca. Przyglądali się sobie uważnie. Nie zmienił się zbyt wiele przez tych dwanaście lat.

Te same kruczoczarne włosy, ciemne oczy, które potrafiły oczarować każdą pannę. Twarz tylko zdała się szczuplejsza, rysy ostrzejsze, naznaczone niebezpiecznym życiem i przeciwnościami losu. Mocno zarysowana broda, zdecydowana linia ust. Zmężniał, zdawał się wyższy. I niebezpieczny.

Bardzo ją to poruszyło. Dawne czasy, wspomnienia. Była wtedy taka młoda. Miała zaledwie siedemnaście lat, ale uczucie do Daniela de Lanceya dalekie było od dzieciństwa. Był jej pierwszą miłością i jedyną. Nigdy go nie zapomniała, nawet wtedy, gdy upokorzenie i zraniona duma przysparzały cierpienie nie do zniesienia. Nie, nie zapomniała, ale uczyniła wiele, by nie wracać do wspomnień.

Ułożył usta, jakby chciał gwizdnąć.

- Lucy Spring... Cud prawdziwy...

W jego oczach dojrzała jakby nostalgicę, a także cień rozbawienia. Była teraz stateczną wdową, a nie zadurzoną dzierlatką, i nie da się po raz drugi zwieść błaahemu urokowi tego człowieka.

- Lucinda Melville - poprawiła go suchym, zasadniczym tonem statecznej wdowy.

Opuścił rękę.

- Oczywiście. Słyszałem, żeś poszła za mąż. Nie zaczekałaś na mnie, chociaż obiecywałaś.

Poczuła bolesne dźgnięcie, jak osiem lat wcześniej, kiedy zrozumiała, że zawiódł, zdradził ich miłość.

- A ty nie wróciłeś, chociaż obiecywałeś. - Słowa same wymknęły się z ust. - Jak śmiesz teraz czynić mi wyrzuty?! Opuściłeś mnie bez słowa. Czekałam na ciebie cztery lata, Danielu! Aż wreszcie zrozumiałam, że mnie porzuciłeś, wzgardziłeś wszystkim, co było ci drogie - stwierdziła z goryczą. - Myślałeś, że będę czekała wiecznie?

Długo nie odpowiadał, wreszcie odwrócił twarz, kryjąc się w mroku, i rzekł bezbarwnym tonem:

- Tak... właśnie tak myślałem.

- Nigdy się do mnie nie odezwałeś. Ani słowa, żadnego listu. Czy w ogóle wspomniałeś mnie czasem?

Milczenie. Jak dobrze pamiętała sztywną atmosferę wیکarówki, gdzie dzień w dzień zbierały się na herbatce przyjaciółki matki i dzień w dzień wyypytywały Lucinę, czy narzeczony odzywał się do niej, a kiedy mówiła, że nie, współczuły jej z jadowitą satysfakcją.

- To było dawno temu - powiedział wreszcie cicho.

- To prawda. - Ścisnęło się jej serce. Nie obchodziła go ani trochę, nie dbał o nią. - Teraz jestem wdową, a ty, jak słyszałam, piratem.

- Dobrze słyszałaś. - Uśmiechnął się szeroko.

Przyjrzała mu się raz jeszcze. Gdyby nie pistolet za pasem i szpada, można by go wziąć za farmera.

- Nie wyglądasz jak pirat. Co za rozczarowanie - zadrwiła.

- Skąd wiesz, jak powinien wyglądać pirat? - odparował. - Znasz jakichś, z którymi mogłabyś mnie porównać?

- Opieram swoje sądy na literaturze.

- Ach, Czarnobrody...

- I Cętkowany Jack.

- Żaden z nich nie miał stylu.

- Obaj już nie żyją, Danielu - powiedziała z naciskiem. - Jak mniemam, nie jest to zajęcie z perspektywami.

Roześmiał się.

- Zawsze byłaś taka trzeźwa, rzeczowa.

- A ty lekkomyślny i niebezpieczny.

- I dlatego zostałem piratem. Oboje dokonaliśmy wyboru, Lucy. Ja chciałem życia szalonego, bez odpowiedzialności, ty zdecydowałaś się na małżeństwo dla pieniędzy.

- Jestem guwernantką, nie bogatą wdową.

- Coś słyszałem. Woliałaś zamiast mnie Leopolda Melville'a, który okazał się człowiekiem bez grosza. Los bywa sprawiedliwy.

W Lucindzie obudziły się tłumione przez lata gniew, ból i poczucie krzywdy.

- Jakim prawem tak do mnie mówisz?! Czekałam na ciebie, ale się nie pojawiałeś, nie przysłałeś nawet jednego listu. - Jeszcze bardziej podniosła głos. - Miałam czekać aż jakiś kaprys sprawi, że się odezwiesz?! - Spiorunowała go wzrokiem. - Byłeś butnym, samolubnym, pozbawionym serca chłopcem, a teraz, jako dojrzały człowiek, nie jesteś ani trochę lepszy.

Wysłuchał tego wybuchu bez słowa, postąpił ku Lucindzie i ujął ją za nadgarstek.

- Wydasz mnie? Pobiegniesz do domu i podniesiesz alarm?

- Ma się rozumieć, że nie - odparła ze wzgardą. - I tak byś zdażył uciec, nim pojawiłby się zbrojny patrol.

Zacisnął mocniej palce na jej nadgarstku.

- Ale chciałaabyś, żeby mnie złapali?

Wzruszyła ramionami.

- Nie zasługujesz na moje współczucie.

- Może i nie zasługuję, jednak mi pomogłaś. Dlaczego, Lucy, skoro chowasz do mnie taką urazę?

Zadrzała. Gdzieś pod gniewem budziło się coś znacznie bardziej niebezpiecznego - dawna namiętność, jak niegdyś gorąca, obezwładniająca. Daniel przesuwał palcami po jej skórze.

- Dlaczego? - powtórzył łagodniejszym już tonem.

- Zostaw mnie. - Próbowała cofnąć dłoń, ale bezskutecznie.

- Co robisz w parku o tej porze? Schadzka z kochankiem?

- Pilnuj swoich spraw! - rzuciła porywczo, chwytając się drugiego pytania. Na pierwsze trudniej byłoby odpowiedzieć. - Jeśli już musisz wiedzieć, szukałam panny Saltire. Dziewczę straciło głowę dla pana Chance'a, oficera straży przybrzeżnej. Bałam się, że chce z nim uciec.

Daniel uśmiechnął się nieznacznie.

- Czego ty nie mogłaś zaaprobować, ma się rozumieć.

- Wiem, jak zwodnicza bywa młodzieńcza miłość.

- Tymczasem zamiast panny Saltire to jej guwernantka ma schadzkę z dżentelmenem przy blasku księżyca.

- Nie mam schadzki, a ty nie jesteś dżentelmenem.

- Tym niebezpieczniejsze może być spotkanie ze mną, czyż nie?

- Zatem powinniśmy się pożegnać.

- Bardzo rozsądna decyzja. - Zamyślił się na chwilę. - Kiedy żegnaliśmy się ostatnio, pocałowałaś mnie na do widzenia.

- Pamiętam - powiedziała po chwili milczenia. - Nie był to zbyt wprawny pocałunek...

A jednak słodki, tak go zapamiętała, chociaż oboje nie mieli żadnego doświadczenia. Prawdę powiedziawszy, tyle teraz wiedziała o całowaniu, co wówczas, bo nieporadnych wysiłków Leopolda nie mogła traktować poważnie, a już na pewno nie przysporzyły jej eksperencji. W małżeńskim łożu musiała okazywać wytrwałość, nie było w nim miejsca dla namiętności. Leopold oskarżał ją wciąż o oziębłość i odwracał się plecami zły, zawiedziony.

Była dziwnie pewna, że Daniel miał niejedną okazję, by nabyć wprawy, i że skwapliwie w tych okazji korzystał.

Potwierdził to, jakby czytał w jej myślach:

- Teraz powinno być lepiej.

Poczuła ucisk w żołądku. Daniel obudził w niej pragnienia i wprowadził w zdenerwowanie. Usiłowała zignorować własne odczucia.

- Bez wątpienia - odparła. - Ale to, co nas łączyło, dawno minęło.

- Uznaj zatem pocałunek za formę podziękowania.

- Większość ludzi zadowala się uściskiem dłoni.

- Nie ja.

Przygarnął ją do siebie i otoczył ramionami. Lucinda myślała, że będzie się opierać, ale nie potrafiła, nie chciała. Zdawał się jej tak bliski, jakby nigdy się nie rozstawali, jakby nie było lat rozłąki.

Daniel smakował morzem, świeżym powietrzem, męskością... Bardzo to było erotyczne. Zaszokowało ją własne podniecenie. Tak dawno nie czuła nic podobnego. Myślała, że już na zawsze pożegnała się ze światem zmysłów.

Rozsądna, trzeźwa Lucinda, guwernantka, która radzi debutantkom, by wystrzegały się prowadzących na manowce porywów, topniała oto w objęciach pirata.

Odsunęła się odrobinę i zobaczyła uśmiech na ustach Daniela, co wprowadziło ją w jeszcze większe pomieszanie, istny zawrót głowy. Gdyby teraz ją puścił, nie ustałaby o własnych siłach.

- Było lepiej niż wtedy? - szepnął.

- Ja... To... - Rozpaczliwie szukała jakichś słów, ale nic nie przychodziło na myśl. Kompletna pustka.

- Nie zdajesz się zbyt pewna.

On natomiast mówił jak ktoś nieskończenie pewny siebie. Zanim zdążyła zaprotestować, pocałował ją ponownie. Świat zawirował i Lucinda wpiła palce w ramiona Daniela, ratując się przed upadkiem.

Miejże rozum, dziewczyno, odepchnij go! - próbowała nakazać sobie.

Zamiast jednak odepchnąć śmiałka, przyciągnęła go do siebie. Jego zarost drażnił skórę na policzku.

- Lucindo...

Całował teraz jej szyję i nieszczęsna ofiara awansów pirata dostała gęziej skórki. Noc była mroźna, a jej przed oczami jawiły się obrazy tamtego gorącego lata. Czowała zapach kwiatów, trawy, słyszała brzęczenie pszczoł, widziała dłonie Daniela rozwiązujące troczki przy staniku jej sukni.

Słodkie wspomnienie. Zapomniała o rozsądku. Przycisnęła się do Daniela jeszcze mocniej, poczuła jego dłoń na piersi, wygięła się lekko w dreszczu rozkoszy. Rozchyliła wargi w zaproszeniu do pocałunku. Daniel nie czekał, ale po chwili odsunął się z cichym przekleństwem.

- Niech to wszyscy czarci! Tak właśnie na mnie działasz, Lucy. Myślałem, że po dwunastu latach...

Przerwał, a ona wciągnęła gwałtownie powietrze. Wracił jej rozum, studził rozpalone zmysły niczym mroźny zimowy wiatr. Poczowała zmęczenie, gorycz i ból. Przez moment zakosztowała tego, co dawno utraciła. Tamto cudowne lato niosło z sobą tyle wspaniałych obietnic.

- To niemądre. Rzecz wszak dawno skończona - oznajmiła twardo, ale głos jej drżał. - Muszę już iść, Danielu.

Nie próbował jej zatrzymać. Jako że nigdy nie miała już go zobaczyć, dotknęła dłonią jego policzka w przelotnej pieszczocie, po czym ruszyła ku domowi. Nie chciała się odwracać, ale gdy nie zdzierżyła i spojrzała przez ramię, Daniela już nie było.



ROZDZIAŁ DRUGI

W nocy, po oblodzonej ścieżce wzdłuż zatoczki, szło się trudno, ale Daniel znał drogę na tyle dobrze, że nie musiał całej uwagi skupiać na tym, gdzie stawia stopy. Jego myśli pochłaniała Lucy Spring. Czuł jeszcze bliskość jej ciała, słodki zapach włosów, który przywodził na myśl lato. Lawendowy, różany lub jaśminowy... Nie potrafił powiedzieć z całą pewnością, jaki. Dawno nie miał okazji przechadzać się po angielskim ogrodzie, ale zapach włosów Lucy tkwił w nim mocno.

Pragnął jej do bólu. Dałby wiele, żeby znaleźć się z nią w łóżku. Trochę to przerażające, że czas rozłąki raptem zniknął, przestał się liczyć, jakby znów ożywiała go tamta młodzieńcza namiętność. Jakby znowu Lucy stała się najważniejsza w świecie.

Uratowała go. Był nieostrożny, nieuważny, rozkojarzony. Poprzedniego dnia pojechał do Newmarket, bo musiał złożyć przykrą wizytę matce jednego ze swoich korsarzy. Dzieciuch, ledwie czternaście lat, zmarł na gorączkę, której nabawił się w Lizbonie. Przekazanie matce wiadomości o śmierci syna było okropnym obowiązkiem. W jej oczach pojawiła się rozpacz, ale nie czyniła Danielowi wyrzutów. Chciał jej opowiedzieć, jak pielęgnował chłopca, jak modlił się o jego wyzdrowienie, jak wszyscy się uradowali, kiedy stan dzieciaka, zdawało się, uległ poprawie. Nie wiedzieli, że to kryzys, zapowiedź śmierci. Mały w mig odszedł cichutko. Był jedynakiem, zbolelej matki nie miał kto wspierać, kto pocieszyć. Daniel zostawił pękata sakwę na stole, świadom, że marne to zadośćuczynienie za śmierć syna, który uciekł na morze i zmarł na pirackim okręcie.

Przezeszał włosy palcami. Wracał z Newmarket, spinając cały czas konia do galopu, jakby chciał uciec przed swymi demonami. Kiedy dotarł do Woodbrige, odprowadził wierzchowca do stajni, a sam poszedł do gospody topić smutki w

piwie. Nikt do niego nie podszedł, nie zagadał. Albo ludzie wiedzieli, kto zasz i bali się odezwać, albo twarz miał tak ponurą, że woleli zostawić go samemu sobie. Kiedyś wystarczała mu świadomość, że służy królowi, co prawda potajemnie, poza prawem, ale czuł się coraz bardziej zmęczony, miał dość wiecznej walki. Od dwóch lat nie widział siostry, jedynej bliskiej osoby, która mu została. Był taki samotny... Spotkanie z Lucindą zupełnie go rozstroiło. Nie chciał jej tracić po raz drugi. Patrzył, jak odchodziła, i był to bodaj najtrudniejszy moment w jego życiu.

Minęło tyle lat. Myślał, że o niej zapomniał, ale wspomnienia ożyły z tak ogromną siłą... Wiedział już, że nic się nie skończyło. Cokolwiek twierdziła Lucinda, nie mógł sobie powiedzieć, że to zamknięty rozdział.

Tyle było w nich obojgu goryczy. Nazwała go samolubnym i miała rację. W młodszej beztrosce, napędzany butą, nie pomyślał, co to znaczy zostawić Lucy samą w dusznej atmosferze wikałówki, wydaną na złośliwe docinki starych wron, wypyujących dzień w dzień, kiedy wróci ukochany i poprowadzi ją do ołtarza. Mijały tygodnie, miesiące zamieniały się w lata, a on milczał. Co sobie wtedy myślała? Jak się czuła, siedząc w domu i czekając na niego? Czy mógł ją teraz winić, że niepomna, iż są po słowie, wyszła za Leopolda Melville'a?

Zatrzymał się, nasłuchiwał odgłosów pościgu, ale wokół panowała cisza. Nawet sowy nie pohukiwały.

Najgorsze było to, że Lucy miała rację, kiedy mówiła o swoim żalu i głębokiej urazie. Założył sobie, że będzie na niego czekała w nieskończoność, tak był pewien jej miłości.

Kiedy zaciągnął się do marynarki, morze stało się jego kochanką. Jedyń, władczą, wymagającą, niebezpieczną i podniecającą. Zapomniał o wszystkim innym. A potem admiralicja powołała go do tajnej służby i został agentem, wcielił się w korsarza, zbierał informacje dla gabinetu Jego Królewskiej Mości. Powiedziano mu od razu, że będzie uchodził za człowieka wyjętego spod prawa, zdrajcę, a to dla zyskania większej wiarygodności. Był lekkoduchem, pędziwiatrem,

więc pomysł mu się spodobał. Nie myślał wtedy o Lucy, o domu, wszystko był gotów poświęcić dla wspaniałej przygody. Przeklęty głupiec, wierzył, że któregoś dnia wróci do ukochanej i wszystko będzie jak dawniej.

W końcu doszła go wiadomość, że Lucy wyszła za męża, i wtedy zrozumiał, co stracił. Nigdy nie będą razem.

Przy burcie podał hasło wachtowemu. „Defiance” był co prawda okrętem korsarskim, ale panowała na nim wojskowa dyscyplina. Daniel musztrował swoich ludzi i był z nich dumny.

- Witam, sir. - W głosie pierwszego oficera, porucznika Holroyda, zabrzmiała wyraźna ulga. Załoga bardzo się denerwowała, kiedy dowódca schodził na ląd. - Ktoś czeka na pana.

„Defiance” cumował w Kestrel Creek. Akurat był przyływ i Daniel nie potrzebował trapu, żeby dostać się na pokład. Lubił cumować w tej zatoczce, ale wpływanie do niej i wyprowadzanie statku na pełne morze było niebezpieczne. Ale też pirat nigdzie nie mógł czuć się bezpieczny. To właśnie skłoniło go do korsarstwa: wolność i ciągłe ryzyko. Był młody, szalony. Teraz jednak bardziej cenił rozsądek niż nieprzemyślaną brawurę.

W jego kabinie paliła się lampa, złote światło oświetlało papiery na biurku i postać w fotelu.

- Słyszałem, że jakiś oficer straży wyjechał na nocny patrol. - Księżę Kestrel wstał na powitanie gospodarza. - Cieszę się, że wróciłeś szczęśliwie.

Daniel pokręcił głową. Współpracował z Justinem Kestrem od pięciu lat. To księżę z ramienia admiralicji odbierał od niego informacje o ruchach floty francuskiej. Daniel przekazywał dane, odstraszał napoleońskie okręty od brytyjskich brzegów i pomagał Francuzom ściganym przez cesarskie służby wydostać się z ojczyzny. Lubił Justina. Był twardy, ale zawsze kierował się jasnymi zasadami. Siostra Daniela, Rebeka, wyszła za męża za brata Justina, Lucasa, byli więc także

spowinowaceni, ale rzadko się na to powoływali. Można powiedzieć, że utrzymywali kontakty czysto zawodowe.

- Chance o mały włos byłby mnie schwytał. Jest dobry, ale myślę, że ktoś mi się przysłużył.

Justin ściągnął brwi.

- Norton?

- Najpewniej. - Chodziło o pirata cieszącego się wyjątkowo złą sławą i francuskiego szpiega. Ludzie twierdzili, że utonął wraz z kochanką, kiedy jego okręt poszedł na dno, ale Daniel nie wierzył tym plotkom. Nie tak dawno widział ślady działalności Nortona u wybrzeży Suffolk. Wiedział też, że łajdak dla zmylenia tropów podszywa się pod niego.

Daniel poprzysiągł sobie, że któregoś dnia odda zbója i zdrajcę w ręce sprawiedliwości.

- Od dawna próbujemy go schwytać - powiedział Justin.

- Ja też, zanim całkiem zbruka moje imię swoimi okrucieństwami. - Z krzywym uśmiechem zerknął na księcia. - Pewnie cię to dziwi, honor u złodzieja...

Justin poprawił się w fotelu. Książę Kestrel był potężnym mężczyzną, zdawać by się mogło, że ledwie mieści się w kajucie.

- Zostawmy to na razie. Chciałem o czymś innym z tobą mówić, de Lancey. Pewnie nie doszła do ciebie wiadomość o śmierci twojego kuzyna, Gideona Pearce'a.

Przyjął te słowa obojętnie. Przed laty kuzyn nazwał go zdrajcą, tokował o hańbie. Jediną osobą z rodziny, która liczyła się dla Daniela, była Rebeka.

- Gideon nie miał dzieci - mówił dalej Justin. - Baron Allandale... Ten tytuł przechodzi na ciebie.

- Niemożliwe. - Daniel uśmiechnął się ironicznie. - Stryj mnie wydziedziczył.

- A jednak nie. Nie na darmo mówi się, że najsilniejsze są więzy krwi.

Daniel już się nie uśmiechał. W zdumieniu uniósł brwi.

- Jestem poszukiwany, wyjęty spod prawa, więc nie mogę dziedziczyć.

- Rząd chce, żebyś przyjął tytuł. Premier uważa, że najwyższa pora, byś zakończył swoją misję. Wszystkie zarzuty wobec ciebie zostaną wycofane. Gdybyś chciał pozostać na morzu, wrócisz do królewskiej floty w stopniu komandora.

- Awans? - zapytał Daniel z przekąsem. - Minister spraw wewnętrznych zamierza przyznać publicznie, że przez te wszystkie lata wykonywałem zadania dla rządu?

- Kto wie, może. Spencer to rozsądny człowiek. Pracował kiedyś w admiralicji, więc rozumie twoją rolę.

Daniel skrzywił się. Trudno oczekiwać, by rząd kwapił się wyjawiać nazwiska tajnych agentów. Ludzie ze sprawującego władzę gabinetu z pewnością by woleli, by zniknął, zaszył się na wsi i tam sobie żył cicho.

- Jak widzę, strasznie im zależy, żebym zamienił się w szanowanego obywatela. Ciekawym, dlaczego?

- Stałeś się właścicielem ziemskim, masz tytuł barona. - Justin z namysłem dobierał słowa. - Nie możesz dalej grasować po morzach, bo rząd już nie będzie dla ciebie łaskawy. To prawda, wypełniasz tajną misję, ale z punktu widzenia prawa jesteś rozbójnikiem i przemytnikiem. Szmuglujesz towary, chociaż zdobywasz dla nas cenne informacje.

Daniel zaśmiał się.

- Nasycam angielskie gardła doskonałym francuskim koniakiem.

- O tym właśnie mówię. - Justin przerwał na moment. - Masz piękny majątek w Shropshire i drugi w Oxfordshire.

- Daleko od wybrzeża.

- Może się ustatkujesz... ożenisz nawet?

Daniel pomyślał natychmiast o Lucindzie.

Skąd ten pomysł? Jeszcze dwie godziny temu w ogóle nie brałby małżeństwa pod uwagę. Korsarstwo i rodzina zdecydowanie nie szły z sobą w parze. A tu raptem

Justin Kestrel sugeruje, że powinien osiąść w Shropshire, mieć żonę, dzieci... Dwudziesty ósmy baron Allandale, utytułowany, zamożny, powszechnie szanowany.

Coś się zmieniło. Wstąpił na niebezpieczny grunt. Pragnął Lucindy, jej bliskości, jej ciepła. Samotność stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

Potrząsnął gwałtownie głową. Co za pomysł! Zwariował ze szczętem. Lucinda go nienawidziła, a świat arystokracji nieodmiennie śmiertelnie go nudził.

- A jeśli odmówię?

Kestrel uniósł brwi.

- A chcesz?

- Tak. Zbyt lubię swoje życie, by je porzucać.

- Przemyśl dobrze swoją decyzję - z powagą rzekł książę. - To dobra propozycja. Jeśli odmówisz, Spencer przestanie korzystać z twoich usług i skończysz na szubienicy.

- Mimo że przez tyle lat służyłem Koronie?

- Tak, de Lancey. - Książę wskazał butelkę koniaku. - Oficjalnie jesteś ściganym przez prawo przestępcą.

- A jednak pijesz mój koniak, zamawiasz go u mnie. - To był głupi docinek. Tak czy siak, Daniel wiedział, że Justin ma rację. Przekroczył granicę prawa, to pewne. Jeśli szybko nie skończy z tym procederem, rząd zapomni o jego zasługach. Wymaże z pamięci zuchwałego korsarza Jego Królewskiej Mości, który oddał nieocenione usługi Koronie, ostanie się jedynie groźny pirat i przemytnik, którego miejsce jest na szubienicy.

- Owszem, piję twój koniak - przyznał Justin. - Jestem hipokrytą. Lubię go. Lubię ciebie, de Lancey. Zbyt lubię, żeby widzieć cię w rękach kata. Zrób to dla swojej siostry, skoro nie widzisz innych powodów.

Argument poniżej pasa, pomyślał Daniel. Jeśli cokolwiek mogło zachwiać jego postanowieniami, to myśl, jak wiele Rebeka wycierpiała przez niego przez te

wszystkie lata. Teraz miała jednak Lucasa i dzieci, czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Czy jego powrót rzeczywiście tak bardzo by ją uradował? Zapewne tak. A jednak dusiłby się na lądzie. Jak mógłby zrezygnować z dotychczasowego życia?

- Za późno.

- Bardzo mi przykro - stwierdził Justin obojętnym tonem. - Spodziewałem się takiej odpowiedzi. - Uściskał dłoń Daniela po raz ostatni. - Od tej chwili sam sobie jesteś panem. Dobranoc.

Po jego wyjściu Daniel wyciągnął się na koi. Myślał o propozycji, którą właśnie odrzucił. Nie dbał o tytuł, nie dbał o posiadłości ziemskie, ale gryzło go sumienie. Dobro wielu ludzi zależało od niego. Nie mógł pozwolić, by majątki popadły w ruinę, a ludzie stracili pracę. Razem z tytułem spadła na niego wielka odpowiedzialność, której tak bardzo nie chciał. Zawsze tak było, gdy się nad tym zastanowić. Uciekał od odpowiedzialności, od obowiązków. Wolał rozbijać się po morzach.

Pomyślał o Lucindzie. Czekala na niego tyle lat, aż stracił jej miłość. Powiedziała mu wprost, że to już przeszłość, zamknięty rozdział, chociaż namiętność nie wygasła. Oboje doskonale o tym wiedzieli. Gdyby mógł cofnąć czas... Ech, próżne rojenia! Nie ma powrotu do przeszłości. Nie wyobrażał też sobie, że mógłby wieść życie zacnego ziemianina. Napisze do Rebeki, zapyta, czy mogłaby w jego imieniu zadbać o ludzi z włości barona Allandale'a.

Jutro wypłynie w morze, zostawi wspomnienia za sobą. Poszuka Johna Nortona. Nigdy więcej nie zobaczy Lucindy. Uczyni wszystko, żeby o niej zapomnieć.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Moje panie, moje panie. - W głosie księżnej Kestrel zabrzmiała przygana. - Strasznie jesteście dzisiaj roztargnione. - Zamknęła egzemplarz „Króla Jana” i odłożyła go na stolik. - Wiem, że w dramatach historycznych Szekspira nie znajdziemy raczej romantycznych wątków - z lekkim uśmiechem spojrzała na Eustachię Saltire - ale uznałam, że może to być budująca lektura. Powiedzże mi, droga pani Melville, co sądzisz o sztuce?

Co sądzi? Nic nie sądziła. Przez ostatnich dziesięć minut jej myśli zajmował Daniel de Lancey, znacznie bardziej intrygująca postać niż król Jan. Prawdę rzekłszy, nie przestawała o nim myśleć od chwili spotkania minionej nocy. Usnęła dopiero nad ranem - i śniła oczywiście o Danielu. Były to sny gorące, pełne namiętności. Jeszcze teraz czuła w całym ciele te senne doznania.

Sally Kestler przyglądała się jej uważnie z troską w zielonych oczach.

- Wyglądasz mi na rozpaloną, pani Melville. Jesteś pewna, że nie masz gorączki? Nie zaziębiłaś się aby?

- Nie... nie sędzę. - Lucinda odgoniła precz obraz nagich ciał splecionych w miłosnym uścisku. Była podniecona i kompletnie skołatana. Zawsze tak dumna ze swojego zdrowego rozsądku, teraz spalała się w ogniu pożądania. A przecież nie czuła nawet zwykłej sympatii dla tego człowieka. Prawdziwe szaleństwo. Strasznie ją to gniewało. Cały Daniel de Lancey. Tylko on mógł ją doprowadzić do takiego stanu.

- Duszno tutaj - bąknęła. - Przejdę się do zatoczki, zażyję świeżego powietrza. - Spojrzała na Eustachię. - Masz ochotę pójść ze mną, Stacey?

Panna Saltire, fertyczna bruneteczka, zrobiła smętną minę.

- Z rozkoszą bym ci towarzyszyła, pani Melville, ale mama zakazała mi wychodzić z domu, kiedy na dworze taki mróz. Boi się, że zwichnę nogę, złapie zapalenie płuc, zniszczę sobie cerę. I tak dalej.

Lucinda zerknęła na Sally Kestrel.

- Droga Letycja jest bardzo troskliwa - stwierdziła księżna z przekąsem. - Może jedźcie gigiem, opatulicie się pledami.

Stacey jeszcze bardziej spochmurniała.

- Kapitalny pomysł, kuzynko, ale mama i na przejażdżkę nie pozwoli. Powiada, że na oblodzonej drodze o wypadek nietrudno.

Lucinda doskonale rozumiała obawy pani Saltire. Eustachia była jej jedynym zabezpieczeniem przed dożywaniem lat w ubóstwie. Drżała przeto, że jej lokata na przyszłość może stracić urodę albo uciec z jakimś ladaco, jednym słowem nie da matce sutych apanaży na starość. Ale widziała też smutną minę Stacey. Panna potrzebowała odrobiny swobody, inaczej gotowa się zbuntować i zrobić matce przykrego psikusa.

Poszła do swojego pokoju, ubrała się ciepło, włożyła budkę i rękawiczki. Było ledwie po drugiej, lecz słońce już chyliło się nad zachodnim widnokregiem. Ruszyła szybkim krokiem przez park otaczający Kestrel Court ku zatoczce. Powietrze pachniało sosnami, pokrzykiwały wszędobylskie wrony, mróz przyjemnie szczypał w policzki. Uwielbiała spacerować i przejażdżki konne, dlatego nieruchawość Saltire'ów nieraz ją irytowała.

Usłyszała odgłos podków, minęła zakręt i zobaczyła jadącego od strony zatoczki Owena Chance'a. Na jego widok Lucinę zdjęły wyrzuty sumienia, że pomogła minionej nocy Danielowi. Zrobiła to zupełnie odruchowo, wiedzona dziwną lojalnością wobec dawnego ukochanego.

Owen Chance miał posępną minę. Minę ambitnego oficera, któremu nie udało się schwytać głośnego pirata, pomyślała Lucinda. Rozpogodził się, zobaczywszy guwernantkę Stacey. Zatrzymał się, szerokim gestem zdjął kapelusz.

- Dzień dobry, pani Melville. Panna Saltire nie chciała pójść na spacer?

Uśmiechnęła się na to nieskrywane zainteresowanie młodą panną. Biedak zadurzył się w czarnulce, ona też nie była obojętna na jego wdzięk. Szkoda wielka, że ta miłość nie miała żadnych szans.

- Niestety - powiedziała Lucinda ku wielkiemu rozczarowaniu Chance'a. - Wybieram się nad zatoczkę. Pan stamtąd jedzie, czyż nie?

- Owszem, ale stanowczo odradzałabym spacer w tamtą stronę. Niedługo zaczną zmierzchać, a powiadają, że przemytnicy będą przerzucać towary na ląd. Sugeruję, by wróciła pani do Kestrel Court i przekazała zarządcy, by przed wieczorem wszystkie drzwi były zamknięte.

Mocniej zabiło jej serce. Czyżby mówił o ludziach Daniela? Przecież parał się przemytem, łupieniem statków kupieckich i Bóg jeden wie czym jeszcze. Chance omal go nie schwytał minionej nocy. Jeśli zamierzał zastawić dzisiaj pułapkę, może pojąć Daniela...

- Okropne. I fascynujące. - Starła się nie okazywać zdenerwowania. - Domyślałam się, że są gotowi na wszystko.

- To przestępcy. Powinni co do jednego zawisnąć na szubienicy.

- Słusznie, panie Chance. Słyszałam, że często zawijał w te strony jeden z największych piratów, ale podobno już się nie pojawia u naszych brzegów.

- Myli się pani - rzekł twardym tonem. - Nadal przemyca towary przez Woodbridge i jest szpiegiem francuskim. Z największą ochotą wydałbym go wymiarowi sprawiedliwości.

Lucindę przeszedł zimny dreszcz. Ani chybi Chance ma na myśli Daniela. Nie tolerowała przemytu, chociaż połowa szlachty w hrabstwie przymykała oko na ten nieczyny proceder. Nawet Justin Kestrel przyznawał beztrósco, że kupuje szmuglowany z Francji koniak. Ale szpiegowanie na rzecz wroga to już całkiem inna para kaloszy. Czyżby Daniel był zdrajcą? Zapomniał o patriotyzmie? Liczą się tylko pieniądze? Niedobrze się jej robiło na tę myśl.

- Posłucham pana rady i wrócę do domu - powiedziała niepewnym głosem. - I oby pan schwytał tego człowieka.

Dotknął kapelusza i odjechał. Lucinda stała jeszcze przez chwilę na ścieżce. Nie miała ochoty wracać do przegrzanego domu. Spotkanie z Owenem Chance'em wytrąciło ją z równowagi. Nie mogła uwierzyć, że to prawda.

Cóż to takiego powiedział Daniel minionej nocy?

„Oboje dokonaliśmy wyboru... Ja chciałem życia szalonego, bez odpowiedzialności...”.

Ale żeby zostać zdrajcą? Niepodobna. Tyle że tak naprawdę nic o nim nie wiedziała. Nie miała pojęcia, jakim stał się człowiekiem.

Mógł traktować informacje jak towar, tak samo jak traktował francuski koniak czy francuskie koronki.

W zdenerwowaniu nie zauważyła, kiedy zesła ze ścieżki prowadzącej do domu i skręciła w prawo, ku rzece. Zamiast się cofnąć, postanowiła dojść do brzegu i stamtąd dopiero ruszyć ku Kestrel Court.

Wkrótce zobaczyła refleksy zmierzchającego światła na powierzchni wody Kestrel Creek. Dotarła więc nad zatoczkę, choć obiecała Chance'owi, że nie przyjdzie tutaj. Powinna natychmiast wracać do domu.

Zaczął się przyływ. W przybrzeżnym mule brodził ostrygojad szukający żeru, jednak wystraszony zakwilił płochliwie i zerwał się do lotu.

Lucinda uśmiechnęła się i szczelniej otuliła peleryną. Wiatr niósł słony smak morza. Powinnam wracać, powtórzyła sobie.

Ruszyła przed siebie, lecz po kilkunastu krokach zatrzymała się. Za zakrętem ścieżki zobaczyła statek kotwiczący w zatoczce, bezpiecznie skryty, niewidoczny z morza, niewidoczny też od strony rzeki. Miał galion w kształcie smoka i wymalowaną na dziobie nazwę „Defiance”.

Całą noc nie mogła usnąć, miała wrażenie, że Daniel jest gdzieś w pobliżu, ale aż tak blisko, całkiem nieopodal, w Kestrel Creek? Tego się nie spodziewała.

O kim ona myśli? Przecież to zbrodniarz, człowiek ścigany, na dodatek pewnie i szpieg. Daniel de Lancey, którego znała, już nie istniał. Nie miała tu czego szukać.

Odwróciła się, chciała wracać, gdy wtem ktoś zastąpił jej drogę, zarzucił worek na głowę. Poczula, jak napastnik przerzuca ją sobie przez ramię, jakby nic nie ważyła, i niesie gdzieś, Bóg wie gdzie...

Daniel. To musiał być Daniel. Rozpoznawała go po zapachu... dotyku... To jego dłonie. Była zdana na jego łaskę. Okropność! Gdy wymierzyła srogiego kopniaka, usłyszała, jak zaklął cicho. Chwycił ją mocniej, tak że ledwie mogła oddychać, a co dopiero poruszyć się.

W pozycji nietoperza, głową w dół, straciła kompletnie orientację. Słyszała jakieś głosy, ktoś ją podawał komuś innemu, jeden przerzucał do drugiego jak pakunek.

W końcu postawili ją i ściągnęli worek z głowy. Zasapana potoczyła wokół wściekłym wzrokiem.

- Co tu robisz? Szpiegujesz mnie?

To był Daniel. Odwróciła się gwałtownie ku niemu. Stała w dość przestronnej, wygodnie wyposażonej kabinie oświetlanej ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Na ścianach tańczyły refleksy światła odbitego od wody, słychać było plusk fal uderzających o burty. Daniel siedział przy eleganckim biurku z wiśniowego drewna, bawił się gęsim piórem. Na blacie leżała otwarta książka, obok niedokończony list. Atmosfera komfortu, spokoju, idealny porządek, wewnątrz starannie wysprzątane, zadbane... Było to tak dalekie od tego, czego się spodziewała, że przez moment nie była w stanie dobrać głosu. Wyobrażała sobie, że taka kajuta to ciemna, cuchnąca nora. Pijana załoga wlewa w siebie beczki rumu i zabawia się z dziewczkami sprowadzanymi z tawern, taki mniej więcej rysował się jej obraz pirackiego okrętu.

- Słucham... - Daniel wydawał się lekko znudzony, jakby od poniedziałku do niedzieli, tydzień po tygodniu, przyłapywał koło „Defiance” wścibskie damy.

Lucinda natychmiast się obraziła. Jak śmiał traktować ją z takim lekceważeniem?!

- Nie szpiegowałam - wyjaśniła z urazą w głosie. - Wracałam od zatoczki do domu i przez nieuwagę skręciłam nie w tę, co powinnam, ścieżkę.

- Zgubiłaś się? - zadrwił.

Wyraźnie jej nie dowierzał.

Przesunęła dłonią po włosach, usiłując je uładzić. Do peleryny przyczepiło się źdźbło słomy, zapewne z worka, który zarzucił jej na głowę. Cóż, woniała teraz wsią. Zerknęła w niewielkie lustro wiszące na ścianie. Wyglądała okropnie.

Daniel natomiast prezentował się tak wytwornie, że już za samo to mogła serdecznie go znienawidzić. Zawsze nosił się z niedbałą elegancją, a dzisiaj miał na sobie świetnie skrojony kaftan, śnieżnobiałą koszulę... Przyglądał się jej z chłodną obojętnością, a ona spłonęła się jak dzierlatka. Wiedziała, co sobie myślał: zapuściła się na brzeg zatoczki, żeby go zobaczyć. Im goręcej by zaprzeczała, tym mniej będzie jej wierzył.

- Możesz sobie myśleć, co ci się podoba, ale wiedz, że cię nie szukałam.

- Tak tylko mówisz - rzucił niedbale.

- To prawda! - Wyprostowała się z godnością. Była zła i zakłopotana. - Masz się za takiego cudownego amanta? Wspaniały pirat, dla którego tracą głowę wszystkie kobiety w okolicy, to właśnie ty, tak? Uważasz, że nie mogłam się powstrzymać przed kolejnym spotkaniem z tobą?

Z nieznacznym uśmiechem podniósł się zza biurka.

- A nie mogłaś, Lucy?

- Nie miałam ochoty i nie musiałam! I przestań mówić do mnie Lucy.

- No tak, zapomniałem. Cóż, dla mnie zawsze byłaś Lucy. - Podszedł do niej tak blisko, że nagle kabina zrobiła się zbyt ciasna dla nich dwojga.

Lucinda wstrzymała oddech, zarazem posyłając Danielowi wściekle spojrzenie.

- Zawsze byłeś zadufany w sobie. A niech to, miałabym tu przyjść, żeby... -
Przerwała raptownie i cofnęła się, aż zatrzymały ją drzwi. Mój Boże, wpatrywała się w jego usta, w te pełne usta!

- Tak? - ponaglił ją.

Zwilżyła wargi językiem.

- Eee... Żeby...

- Jak na guwernantkę masz niejakie kłopoty z wystawianiem się. Zauważyłem to już minionej nocy. - Oparł dłonie o drzwi, zamykając Lucindę w potrzasku, po czym pocałował ją. Pocałunek był krótki jak mgnienie oka, ledwie muśnięcie, ale to wystarczyło.

I w niej, i w nim na nowo obudziło się pożądanie. Lucinda nie mogła złapać tchu. Nie była w stanie myśleć. W objęciach Daniela straciła zupełnie głowę. Podniosła rękę do ust. Drżała.

- Ja... - Odchrząknęła. - Nie chciałam tego.

- Nie? - W jego głosie dało się wyczuć napięcie. - To nie zabawa, Lucindo. Nie przychodź tu więcej, bo wpadniesz w poważne tarapaty.

Wezbrała w niej złość.

- Ja się nie bawię - sarknęła. - To ty kryjesz się po lasach i bawisz w pirata. Porywasz ludzi, uprawiasz szmugiel, powiadają nawet, że jesteś francuskim szpiegiem. Nigdy nie dorosłeś.

Doskoczył do niej tak szybko, że nie zdążyła się cofnąć. Chwycił ją za nadgarstek. Nie bolało, ale nie mogła uwolnić ręki z uścisku. Przez ułamek sekundy dojrzała w jego oczach ból, ale po chwili twarz znowu się zamknęła, znów zdawała się obojętna.

- Co to ma znaczyć? - zapytał z takim spokojem, że Lucindę przeszedł dreszcz.

- Spotkałam przed chwilą pana Chance'a. Powiedział mi, że przemytnicy będą tej nocy przerzucać towar na ląd, a on zamierza urządzić zasadzkę. - Daniel mocniej zacisnął dłoń na jej nadgarstku. - Mówił, że jesteś przestępcą, szpiegiem, zdrajcą...

Opuścił gwałtownie rękę, jakby się sparzył.

- Wymienił moje nazwisko?

- Nie... Ale kogo innego mógł mieć na myśli? - szepnęła.

Patrzyli długo na siebie bez słowa, w końcu Daniel odwrócił się.

- Kochana Lucy! Co najgorsze, to ja.

- Nietrudno było się domyślić, że chodzi o ciebie. - Lucindę ubódł oskarżycielski ton. - Sam przyznałeś, że jesteś piratem. Myślałam...

Przypuszczałam...

- Myślałaś, że jestem nie tylko piratem, ale i zdrajcą. - Uderzył pięścią w drzwi. - Kiedyś mi ufałaś. Kochałaś mnie.

- To już przeszłość. - Proch i pył pozostał z tamtej miłości, pomyślała z goryczą.

- Chcesz powiedzieć, że nic już do mnie nie czujesz?! - Zachłannie przesunął dłonią po policzku Lucindy.

Ten dotyk palił. Daniel zawsze budził w niej zdradliwe pożądanie... zaprawione, niestety, goryczą.

- Nie jesteś mi zupełnie obojętny - przyznała otwarcie. - Ale to tylko pociąg fizyczny. Nie ufam ci, Danielu, i nie szanuję ciebie.

Przez moment myślała, że znowu ją pocałuje, ale odwrócił się na pięcie i wyszedł z kabiny.

Stała przez chwilę bez ruchu, targana burzą emocji, po czym wybiegła za Danielem.

- Poczekaj! - zawołała. - Chcę zejść ze statku...

- Nie możesz - powiedział z kamienną twarzą. - Powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej. Zaczął się przypyływ. Podnieśliśmy kotwicę i wypływamy z zatoki.

Wyszedł na pokład, mocno zaciskając dłonie w pięści.

„Nie ufam ci... Nie szanuję ciebie...”.

Przed chwilą był bliski powalenia Lucindy na podłogę. Miał ochotę się z nią kochać, chciał unieważnić wszystko, co ich dzieliło, marzył, by miłość wróciła. Niech to diabli, zwariował chyba. Jakie to ma znaczenie, co ona o nim myśli? Mógł jej wszystko wyjaśnić, gdyby mu zależało na jej dobrej opinii. Ale na to już za późno. Lucinda miała rację. Nie było dla nich powrotu do przeszłości.

„Defiance” powoli wypływał z zatoczki na otwarte morze. Usłyszał tupot stóp za plecami, zaraz też Lucinda złapała go za rękaw i odwróciła ku sobie. Oczy jej płonęły. Była w furii.

- Co ty wyprawiasz?! Zawróć statek, chcę wysiąść!

Doskonale wiedział, że cała załoga, z pozoru zajęta swoimi obowiązkami, bacznie ich obserwuje. Leniwie oparł dłonie na biodrach i uśmiechnął się.

- Nie mogę zawrócić, pani Melville - rzekł przeciągle. - Musimy wypłynąć, dopóki trwa przypyływ, on nie zwykł czekać.

- Chcesz powiedzieć, że muszę płynąć z tobą? Jak długo mam tu tkwić?

Zamierzał być na morzu zaledwie kilka godzin, poszukać Nortona i uciec przed zasadzką Owena Chance'a, ale teraz wzruszył tylko ramionami.

- Tydzień? Dwa? Trudno powiedzieć. Możesz dzielić ze mną kabinę, jeśli chcesz - dodał ze złośliwym uśmieszkiem. - Pewnie nie ma już między nami miłości, ale może być całkiem przyjemnie.

Przestraszył się, że go uderzy, lecz odwróciła się i odbiegła. Wciąż byli w zatoce, płynęli blisko brzegu. Niewiele myśląc, Lucinda wspięła się na reling, już szykowała się do skoku.

Daniel zaklął straszliwie i w mgnieniu oka dopadł desperatkę, chwycił wpół i ściągnął na pokład, nim zdołała wyprostować przygięte nogi i wybić się ku falom.

- Mogłaś się zabić! - wrzasnął. - Oszalałaś?

Rzeczywiście, jak oszalała szarpała się w jego ramionach. Kopała, grzmociła pięściami i wyzywała od najgorszych, ciskając obelgi, które nawet Daniela wprawiały w zmieszanie. Pamiętał dobrze, jakim była urwisem w dzieciństwie. Podarte sukienki, otarte kolana, gubione kapelusze, i tak bez końca. Wieczne utrapienie, chłopczyca. Najwyraźniej niewiele się zmieniła. Załoga przyglądała się jej z coraz większym zainteresowaniem, starając się nie szczyryć zębów zbyt otwarcie, dlatego Daniel przeniósł ją i postawił za masztem, z dala od wścibskich oczu. Nie puszczał jej, dopóki się nie uspokoiła, a kiedy wreszcie atak wściekłości minął, odgarnął jej włosy z twarzy.

- Aż tak mnie nienawidzisz, Lucy, że ryzykowałeś życie, byle tylko uciec?

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, w końcu opuściła głowę.

- Nie - szepnęła - ale żałuję, że cię znowu spotkałam.

Daniela jakby ktoś dźgnął nożem.

- Zawrócę statek, Lucy.

- Nie musisz. Tylko wysadź mnie na brzeg. Poradzę sobie.

Uśmiechnął się.

- Wiem, Lucy, jednak nalegam.

Z wahaniem odwzajemniła uśmiech.

- Owen Chance może cię schwytać.

- Wątpię.

Wygładziła pomietą suknię.

- Jesteś ryzykantem. - Ponownie się uśmiechnęła, nie zdołała jednak ukryć smutku. - Wydaje mi się, że znam cię dobrze, tymczasem nie znam wcale.

Przez moment był bliski wyznania całej prawdy o sobie. Pokusa była tak ogromna, że słowa same cisnęły się na usta. Nigdy dotąd nie dbał o niczyje zdanie, lecz teraz rozpaczliwie pragnął, by Lucinda mu zaufała, obdarzyła szacunkiem. Nic nie było ważniejsze. Wcisnął dłonie do kieszeni, walcząc z wściekłością. Co jednak by to dało, gdyby jej powiedział, że jest po stronie dobra? Nie zabierze jej przecież z

sobą, nie naprawi też krzywd, które wyrządził. Będzie lepiej, jeśli pozwoli jej odejść.

Rzucili kotwicę, spuścili trap...

Lucinda chciała wracać sama, ale Daniel uparł się ją odprowadzić. Polecił Holroydowi, by podpłynął do Harte Point i tam zaczekał, aż on odprowadzi Lucinę do Kestrel Court.

Szli w milczeniu. Czasami tylko Lucinda uprzejmie dziękowała, kiedy Daniel odchyłał gałęzie, by utorować przejście.

Odezwała się, dopiero gdy doszli do granic posiadłości.

- Odpowiada ci piracka profesja, Danielu?

- Nie narzekam. - Uniósł brwi. - A tobie odpowiada pozycja guwernantki?

- Nie narzekam - odparła z powagą. - W każdym razie lepsze to niż małżeństwo.

- Zależy z kim - zauważył trzeźwo.

Milczała, tylko wiatr targał gałęziami sosen.

- Zapewne - przytaknęła w końcu. - Niepotrzebnie wyszłam za Leopolda.

Chciałam zapomnieć o tobie, dlatego przyjął pierwszego, który się nadarzył.

Słowa Lucindy ponownie obudziły ból i wyrzuty sumienia.

- Wszyscy popełniamy błędy. Moje były znacznie gorsze od twoich.

- Jakież to błędy, Danielu?

- Buta, samozadowolenie, bezmyślność... Ach, i jeszcze to: ograłem portugalskiego pirata w karty za pomocą szulerskich sztuczek. Omal nie przypłaciłem tego życiem. - Gdy parsknęła śmiechem, gdy już się wyśmiała, szepnął cicho: - Tak bardzo chciałbym cofnąć czas.

- To też błąd, Danielu. - Obejrzała się przez ramię. - Jestem prawie w domu.

Mozemy się tu pożegnać. Przez park pójde sama. - Położyła mu dłoń na piersi i pocałowała w usta.

Miał ochotę porwać ją w ramiona i kochać się z nią w tym lesie, pod sosnami, ale wiedział, że to niemożliwe. I tak już sytuacja wymykała się spod kontroli.

- Dobranoc - szepnęła.

Wiedział, że żegna się z nim na dobre.

- Każ służbie pozamykać wszystkie drzwi na noc - ostrzegł ją.

- Ponieważ ty i twoja łajdacka załoga zamierzacie wylądować na ląd wasz szmugiel.

Chwytał ją za ramiona i przyparł do drzewa.

- Masz o mnie fatalną opinię - mruknął z goryczą. Tak bardzo pragnął zapomnieć o jej urazie, o pretensjach, odnaleźć dawną słodycz. Pocałował ją mocno, jakby z tym pocałunkiem mógł odzyskać wszystko, co utracił.

Czuł, że Lucinda jest w tej chwili jego, że może ją mieć. Widział w blasku księżyca zamglone oczy, widział w nich pożądanie. I on jej pożądał do bólu, ale gdyby teraz miał się z nią kochać, rano nienawidziłaby go jeszcze bardziej niż teraz. Reagowała na niego, to prawda, ale nie ufała mu, brzydziła się jego procederem, a potem brzydziłaby się i siebie.

Odsunął się od niej.

- Idź już, Lucindo. Idź, zanim stracę tę resztkę honoru, którą jeszcze posiadam, i potraktuję cię jak na pirata przystało.

Otuliła się szczelniej peleryną i odeszła pośpiesznie, a on poczuł się całkiem samotny i opuszczony.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W połowie grudnia odbyło się ostatnie spotkanie towarzyskie w resursie. Od morza dął mroźny wiatr, w salach było strasznie zimno, hulały przeciągi, w podmuchach tańczyły płomienie świec. Lucinda zadrżała i szczerzej owinęła się szalem. Niewiele pojawiło się tego wieczoru osób, ot, kilka rodzin z sąsiedztwa, paru oficerów z garnizonu w Woodbridge. Pośród panien Stacey błyszczała jak klejnot.

Wszyscy panowie kierowali ku niej spojrzenia, zabiegali o jej uwagę. To typowe, myślała Lucinda. Kiedy panna była już po zrękowinach, adoratorzy czuli się bezpieczni, mogli swobodnie prawić komplementy. Najbardziej wszak nadskakiwał Stacey Owen Chance. Tańczyli właśnie, dwie ciemne głowy nachylały się do siebie w cichej rozmowie.

Lucinda westchnęła. Martwiło ją to, co widziała, i co widział także pan Leytonstone. Patrzył na tańczącą parę złym okiem, ale był zbyt tchórzliwy, by dać godny respons adoratorowi narzeczonej. Nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła ukłucie zazdrości. Zazdrościła Stacey, zazdrościła Owenowi, żałowała straconej miłości.

Od rozstanie w lesie nie widziała już Daniela. Uciekła od jego oschłości, od emocji, które w niej budził. Przede wszystkim jednak uciekała od świadomości, że nie jest tym człowiekiem, którym chciała, żeby był. Nie знаła go, wydawał się kimś zupełnie obcym.

Nie chodziła już nad zatoczkę, wybierała bezpieczniejsze trasy. Czasami o zachodzie słońca stawała w oknie swojej sypialni i wypatrywała statku o czarno-purpurowych burtach, ze smokiem na dziobie, ale statek się nie pojawiał. Zaciągała z westchnieniem zasłony i z ciężkim sercem kładła się do łóżka. Po co znowu go spotkała? Niestety stało się, obudziły się na nowo dawne uczucia i nie można było

udawać, że ich nie ma. Powracały dręczące wspomnienia tamtego lata, kiedy byli młodzi. Zzerała ją myśl, że Daniel jest teraz kimś innym, piratem, a zapewne i zdrajcą.

Podpytywała o niego Sally Kestrel, łowiła plotki krążące po Midwinter. Wiedziała, że powinna zapomnieć o Danielu, lecz nie potrafiła. Często słyszała jego imię, ale opowieści nic nie wnosiły, nie sposób było powiedzieć, co w nich prawdą, a co legendą.

Ciekawe, że w wielu tych opowieściach Daniel de Lancey jawił się bohaterem, tajnym agentem i korsarzem Jego Królewskiej Mości, który nadstawia głowę dla dobra kraju, nie zaś renegatem, za którego pragnął uchodzić.

Lucinda modliła się, by to była prawda, ale podejrzewała, że nigdy się nie dowie, jak jest w rzeczywistości.

- Droga pani Melville, wyglądasz mi na przygnębioną. - Lucinda odwróciła się i zobaczyła serdecznie uśmiechniętą księżną Kestrel. Poszła za wzrokiem Lucindy, która nie spuszczała z oka pary na parkiecie. - Powód do troski?

- Jako przyzwoitka rzekłabym, że zdecydowanie. Jako osoba, która chciałaby widzieć pannę Saltire szczęśliwą, powiem, że żadnego.

Sally Kestrel spojrzała na nią bystro.

- Uważasz, że panna Saltire popełnia błąd, idąc za pana Leytonstone'a?

Nieco zakłopotana Lucinda wzruszyła ramionami. Wiedziała, że w młodości Sally wybrała solidnego Stephena Saltire'a, odrzucając awanse pełnego uroku Justina Kestrela. Dwadzieścia lat minęło, zanim mogli wreszcie być razem. Przyglądając się ich miłości, która tyle przetrwała, Lucinda czuła się jeszcze bardziej samotna.

- Stacey powinna wyjść za mąż z miłości, a nie dla pieniędzy - powiedziała ostrożnie. - Chociaż akurat ja nie powinnam tego mówić.

Księżna uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Nie chcemy, by inni popełniali błędy, które były naszym udziałem.

Próbowałam rozmawiać z kuzynką Letycją, ale pozostaje nieugięta. One nie mają grosza, a pan Leytonstone jest człowiekiem majątnym.

- Czego nie da się powiedzieć o panu Chansie, jak rozumiem - dodała Lucinda.

Sally Kestrel pokiwała głową.

- To dobrze urodzony młody człowiek, ale bez żadnych zasobów, a pieniądze są dla kuzynki Letycji ważniejsze nad wszystko.

- Pan Jackson Raleigh - zaanonsował donośnym głosem mistrz ceremonii.

Lucindzie zabrakło tchu. Wachlarz wypadł jej z dłoni, nachyliła się zatem i zaczęła szukać go nerwowo pod fotelem. Drżała jak w gorączce, do głowy uderzały wapory, to zimne, to gorące fale. Rebeka, zanim wyszła za męża, używała tego nazwiska, kiedy mieszkała w Londynie. Tak samo nazywał się znany żeglarz, ponoć korsarz, jak szeptano...

Wyprostowała się. W jej kierunku zmierzał Daniel de Lancey w wytwornym wieczorowym stroju. Szedł lekkim krokiem, a jego sylwetka i swobodne wzięcie sprawiały, że oczy wszystkich pań kierowały się w jego stronę.

Starła się nie patrzeć na niego w obawie, że jej spojrzenie i wyraz twarzy mogą zdradzić tożsamość niespodziewanego gościa. Trochę, a nawet nie tylko trochę ją rozgniewało, że tak jest pewien jej dyskrecji. Cóż za buta, jaka czelność... Choćby tylko dlatego noga powinna mu się powinąć. A jednak, choć zirytowana, drżała o jego bezpieczeństwo.

- Moja droga pani Melville, strasznie zbladłaś - zaniepokoiła się księżna. - Dobrze się czujesz?

- Wybornie, trochę mi tylko zimno. Wieczór taki chłodny... - Lucinda powoli odzyskiwała równowagę.

- Powinnaś koniecznie zatańczyć. To, że jesteś przyzwoitką, nie znaczy jeszcze...

- Och, od dawna już nie tańczę - zaproponowała.
 - Nawet z najprzystojniejszym panem w tej sali? Chce cię chyba poprosić...
- Podniosła wzrok.

Daniel zdecydowanie sterował w jej stronę, torując sobie drogę wśród gości. Patrzył na nią z lekką kpina w oczach. Drażnił ją, jakby sprawdzał, czy odważy się mu odmówić. Skłonił się przed nią z galanterią.

- Madame pozwoli, że się przedstawię...
- Pamiętam pana, spotkaliśmy się już - nie pozwoliła mu dokończyć. - Witam, panie Raleigh.

Uniósł jej dłoń do ust, ucałował i przez dłuższą chwilę dzierzył w swojej.

- Czuję się pochlebiony, że mnie pani pamięta, madame.
- Ach, przypomniałam sobie pana, kiedyś wszedł - odparła Lucinda lekkim tonem. - Wydałeś mi się znajomy. - Zwróciła się do księżnej : - Pozwól, pani, to pan Raleigh. Jej Wysokość księżna Kestrel.

Daniel skłonił się z uśmiechem.

- Droga pani Melville, nie wspominała pani nigdy, że pan Raleigh i ty jesteście znajomymi. Jakże się pan miewa, sir? Co cię sprowadza do naszego zakątka Suffolk?

- Interesy, jak zawsze interesy, milady. - Daniel uśmiechnął się do Lucindy, która spłoniła się jak pensjonarka. - Kiedy zobaczyłem panią Melville, nie mogłem sobie odmówić przyjemności odnowienia dawnej znajomości. Czasem należy zapomnieć o interesach i pomyśleć o sobie.

- Wyborny pomysł - przyklasnęła Sally Kestrel. - Właśnie mówiłam pani Melville, że to wieczór tańców...

- Jakby czytała pani w moich myślach, madame. - Daniel skłonił się ponownie przed Lucindą. - Wyświadczy mi pani tę łaskę...?

- Przyszłam z panną Saltire, mam się nią opiekować, nie tańczyć... - wymawiała się Lucinda.

Sally pchnęła ją lekko wachlarzem.

- Będę miała oko na moją małą kuzyneczkę, a ty zatańcz z zacyjnym kawalerem.

Dawności się nie widzieli i na pewno macie sobie sporo do opowiedzenia.

Daniel trzymał ją już za rękę.

- Nalegam, pani Melville. To walc. Pójdę o zakład, że od lat pani nie tańczyła.

- Wolę nawet nie liczyć. - Pozwoliła wreszcie wyprowadzić się na parkiet. -

Jesteś nie do zniesienia - powiedziała półgłosem, gdy ją objął. - Dlaczego mnie prześladujesz?

Daniel uśmiechnął się szeroko.

- Chyba nie jest aż tak źle. Pięknie wyglądasz, jeśli mam rzec prawdę.

- Prawdę, powiadasz? Sama już nie wiem, co jest prawdą. Czy mnie prześladujesz, czy raczej nie chcesz widzieć na oczy. Ostatnio byłam pewna, że to drugie.

Uśmiech zniknął z twarzy Daniela.

- Chciałem cię zobaczyć.

- Dlaczego w takim razie tak zimno się ze mną pożegnałeś?

- Uznałem, że tak właśnie powinienem być postąpić. Może to okrutne, ale słuszne.

- Dlaczego?

- Już za późno, Lucy. Sama powiedziałaś... Między nami wszystko dawno się skończyło - wyznał zdławionym głosem, twarz miał mroczną.

- Dlaczego zatem pojawiłeś się dzisiaj?

- Żeby się pożegnać.

Oczekiwała takiej właśnie odpowiedzi, a jednak słowa Daniela zabolęły.

Poczuła się osamotniona, opuszczona.

- To szaleństwo podejmować takie ryzyko - szepnęła.

- Wiem.

- Dlaczego się na nie ważyłeś?

- Musiałem cię zobaczyć raz jeszcze.

Serce podeszło jej do gardła.

- Niepotrzebnie - powiedziała ostrym tonem. - Doskonale wiemy oboje, że tamto uczucie już nie wróci. Po co ryzykować wszystko dla jednego spotkania?

- Może lubię wystawiać się na niebezpieczeństwo? - Wzruszył ramionami. A może... - Gdy się zawahał, Lucindzie przemknęło przez głowę, że zaraz powie o swej niewygasłej miłości. - Może dla tego ostatniego walca. - Przygarnął ją bliżej, przytulił policzek do jej policzka. Poczula kłujące igielki zarostu.

- Przynajmniej mogłeś się ogolić, wybierając się na tańce - wytknęła mu kwaśno, na co Daniel zaśmiał się i potarł policzkiem o jej policzek. - Skoro to nasz ostatni taniec - zdobyła się na odwagę - powiedz mi prawdę.

- Prawdę?

- Tak. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Chyba wiesz jeszcze, co oznacza to słowo. Nie spotkamy się już więcej, więc odpowiedz szczerze na jedno pytanie.

- Tak?

- Po naszym ostatnim spotkaniu słyszałam różne rzeczy. To John Norton jest zdrajcą i szpiegiem francuskim i na niego poluje teraz Owen Chance, nie na Daniela de Lanceya, chociaż i ty jesteś poszukiwany. Niektórzy mówią nawet - zniżyła głos - że Daniel de Lancey tak naprawdę nie jest piratem, tylko korsarzem na służbie rządu. - Spojrzała mu w oczy. - Co na to powiesz, sir?

Mocniej zacisnął dłoń na jej kibici.

- Że powinnaś zapomnieć, coś usłyszała. Kiedyś może była to prawda, ale nie dzisiaj. Jestem poszukiwany. - Ich spojrzenia się spotkały. W oczach Daniela widziała żar, brak spokoju i coś, co zaparło jej dech w piersiach. - Lucy, nie zadawaj więcej takich pytań, to zbyt niebezpieczne.

- Muszę wiedzieć...

Położył jej palec na ustach i ten jego przelotny gest poczuła w całym ciele.

- Jesteś zbyt lojalna, Lucy, i zbyt wiele w tobie energii, pasji, uczciwości.

Pokręciła głową.

- Jeśli źle cię oceniłam...

- Nie popełniłaś błędu w ocenie - przerwał jej. - Przykro mi, ale nie jestem tym, kim chciałabyś mnie widzieć.

Doskonale wiedziała, co Daniel miał na myśli. Chciała go oczyścić z wszelkich podejrzeń, chciała mieć go za człowieka uczciwego, człowieka honoru, by mieć nadzieję na przyszłość, ale na to nie pozwolił.

- Nie myślmy teraz o tym - powiedział. - Cóż, wiele bym dał, żeby cofnąć czas, ale...

Te słowa obudziły w niej tak potężną tęsknotę, że przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. To jakieś szaleństwo, ale instynkt silniejszy niż rozum i zdrowy rozsądek, jakiś zew pierwotny, z którym usiłowała walczyć, sprawiał, że pragnęła tego człowieka całym sercem, duszą i ciałem. Chciała do niego przywrzeć bezwstydnie, zapomnieć się w tym ostatnim tańcu. Niech liczy się tylko chwila obecna. Daniel zaraz zniknie jak sen złoty, odpłynie, zostawiając po sobie jedynie wspomnienie.

Zamknęła oczy i dała się ponieść muzyce, wirowała w takt walca w ramionach Daniela.

- Dlaczego masz na głowie ten cudaczny turban? - zapytał. - Chciałbym widzieć twoje włosy, dotknąć ich jak tamtej nocy w świetle księżyca...

Lucindzie mocniej zabiło serce.

- Włożyłam go, bo jestem stateczną wdową, a nie trzpiotką. Ty też powinieneś o tym pamiętać.

- Ciągle jesteś tą samą szaloną dziewczyną, którą pamiętam sprzed lat - powiedział z uśmiechem. - Potrafisz się maskować, ale sam przecież widziałem, jak chciałaś wyskoczyć ze statku. Zawsze byłaś urwisem. Znam cię dobrze - powiedział cicho.

- Znałeś. Zmieniłam się, tak jak ty się zmieniłeś.

- Nie tak bardzo, jak chciałabyś mi wmówić, Lucy.

Spojrzała na niego i poczuła to samo uniesienie, co tamtej nocy przy parkowej bramie, kiedy ujrzała go po raz pierwszy po tylu latach. Owszem, miała w sobie coś szalonego, coś, co tylko Daniel potrafił wyzwolić, wydobyć na powierzchnię. Tak długo ta część jej natury była uśpiona, że teraz, gdy została rozbudzona, przyczyniała tylko zgryzoty, wprawiała w niepokój. Daniel wkrótce odpłynie, zniknie z jej życia. Złość, zagniewanie, to była dobra tarcza ochronna, inaczej gotowa by reagować równie żywiołowo jak wówczas, przed laty.

- De Lancey? - doszedł ich donośny okrzyk i oboje drgnęli gwałtownie.

Muzyka ucichła jak nożem uciął. Daniel obrócił się. Nie on jeden zresztą. Wszyscy w pierwszej chwili zamarli na dźwięk aż nazbyt dobrze znanego nazwiska, po czym oczy zgromadzonych skierowały się ku temu, kto wołał. Owen Chance rozpoznał pirata i szedł ku niemu przez parkiet z listem w dłoni.

- Daniel de Lancey, nie mylę się? - zagadnął.

Lucinda poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, zresztą pierwszy raz w życiu. Była przerażona! Oto Daniel znalazł się w straszliwym niebezpieczeństwie. Nikt z bawiących się w resursie nie widział go wcześniej, ktoś z zewnątrz musiał donieść Owenowi, kim naprawdę jest pan Jackson Raleigh. Spojrzała na list w dłoni Owena, potem na twarz.

Daniel zareagował znacznie spokojniej. Ona widziała w wielkich lustrach zdobiących ściany sali balowej swoją kredowoblada twarz, on wykazywał diabelne wprost opanowanie. Uniósł jedną brew, czekając wyjaśnień z miną uprzejmą, acz wskazującą na pobłażliwe rozbawienie.

- Pan wybacz - rzekł - ale zaszła najwyraźniej pomyłka. Jestem Jackson Raleigh z Ludlow w Shropshire. Swoją drogą, wielce ciekaw, skąd takie nieporozumienie.

Po sali poniósł się szmer komentarzy i domysłów. Ktoś stanął przy drzwiach, odcinając piratowi odwrót, gdyby zamierzał salwować się ucieczką. Któryś z

oficerów straży zdążył już zebrać wokół siebie grupkę podkomendnych. Z oczu Daniela znikło rozbawienie, ostała się chłodna kalkulacja. Rozejrzał się dyskretnie, szukając ratunku. Nadaremnie.

Zerknął na Lucinę, a ona natychmiast pojęła, co teraz nastąpi.

- Pani Melville z pewnością poręczy, że bierze mnie pan za kogoś innego - powiedział. - To moja dobra znajoma. Razem dorastaliśmy. - Potoczył wzrokiem po stężących w oczekiwaniu twarzach. - Prawdę rzekłszy, znacznie więcej niż znajoma. Narzeczona.



ROZDZIAŁ PIĄTY

To dopiero fortel! Niewybaczalny!

Zachrobotał zamek, z korytarza dobiegły kroki oddalającego się strażnika. Lucinda z całej siły szarpnęła Daniela za połę fraka. Wylądował z głośnym „łup” na pryczy, uderzając przy tym ramieniem o ścianę tak boleśnie, że na moment odjęło mu dech w piersiach. Lucinda przygniotła go całym ciężarem ciała, siadając na nim okrakiem, zupełnie jak wtedy, gdy urządzali bijatyki jako dzieci. A jednak niezupełnie jak wówczas. Doznania były zupełnie inne, a i Daniel patrzył na nią inaczej. Wpatrywał się w dekolt sukni balowej.

I uczynił pierwszą rzecz, która przemknęła mu przez myśl, a mianowicie zerwał Lucindzie turban z głowy i rzucił na podłogę. Jasne włosy rozsypały się, opadając na ramiona „statecznej wdowy”.

Uśmiechnął się wielce z siebie zadowolony.

- Teraz lepiej.

Parsknęła niczym rozzłoszczona kotka i zdzieliła go pięścią w pierś.

- Potwór jesteś! Wstrętny, kłamliwy, podstępny potwór.

Daniel zaśmiał się na całe gardło.

- Nie żałuj sobie, Lucindo.

- Nienawidzę cię. Raz już zrujnowałeś mi życie, teraz historia się powtarza.

Zniszczyłeś mnie. Brzydzę się tobą. - Głos się jej załamał.

Była bliska łez. Jego twarda, nieugięta Lucinda. Nigdy nie widział, by płakała, nawet wtedy, gdy dokonał żywota jej ukochany padalec. Miała wtedy trzynaście lat, w tym wieku łatwo o łzy, gdy traci się ulubieńca.

Położył dłonie na jej ramionach. Zrobiło mu się nieswojo, czuł żal.

Spoważniał w jednej chwili, spokorniał. Miał do czynienia z podobnymi sytuacjami

na co dzień, Lucinda żyła w innym świecie. W swojej lekkomyślności i egoizmie nie pomyślał, że bezpowrotnie rujnuje jej przyszłość.

- Przepraszam, Lucy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Niezgrabnie wzruszył ramionami.

- Nie przypuszczałem, że to się tak skończy. Nie wierzyłem, że Chance nas zamknie. Byłem pewien, że przekona go twoje poręczenie i wycofa się z oskarżeń, przeprosi. Potem wszyscy zaczną nam gratulować, a my wyjdziemy stamtąd spokojnie...

- Tak. Odpłynąłbyś sobie spokojnie, a ja znowu musiałabym tłumaczyć, jak przed laty, dlaczego mój narzeczony zniknął.

- Mniej więcej - przyznał po długim milczeniu.

Uwolniła go i usiadła, a on podniósł się natychmiast i przysiadł obok niej na pryczy. Zostali zamknięci w przemienionym naprędce w celę pokoju biurowym aresztu w Woodbridge. Chance posłał umyślnego do Shropshire, by ten wywiedział się, czy pan Jackson Raleigh to znana tam persona. Drzwi, oczywiście, zamknięto na klucz, na korytarzu ustawiono strażnika. Chance przeproszał, ale był stanowczy, nie chciał jednak zamykać obojga „podejrzanych” w plugawej celi, w razie gdyby rzeczywiście okazali się tymi, za kogo się podawali, czyli ludźmi wysokiego stanu, których omyłkowo wzięto za złoczyńców i oszustów. Tak czy inaczej zostali skazani na niewygody. W pokoiku znajdowała się tylko jedna wąska prycza, stół, krzesło i wiadro. To wszystko.

Daniel nie widział wyrazu twarzy Lucindy, bo spadające luźno, potargane włosy skutecznie to uniemożliwiały.

- Nigdy nie przejmowałeś się nikim poza samym sobą - powiedziała powoli. - To cały ty. - Gdy milczał uparcie, natarła ostro: - Dlaczego nic nie mówisz?!

Pokręcił bezradnie głową.

- Nie mam nic na swoją obronę. Masz rację, myślałem tylko o sobie i o tym, jak ratować własną skórę.

- Porzuciłeś mnie bez słowa, kiedy miałam ledwie siedemnaście lat - ciągnęła Lucinda. - Dzisiaj niemal puściłam to w niepamięć, byłam prawie gotowa zacząć wszystko raz jeszcze. Ale ty dbasz wyłącznie o siebie. Zawsze tak było, ty się już nie zmienisz.

Poruszył się gwałtownie. Cierpiał i był wściekły. Od pewnego czasu oceniał swoje życie bardzo surowo, zdarzała mu się nie spać po nocach, tak bardzo dręczyły go wyrzuty sumienia, ale nikomu się nie zwierzał ze swoich zgrzyzot, nikt o nich nie wiedział. Wszystko się zmieniło, kiedy w jego życiu znowu pojawiła się Lucinda. Teraz to ona stała się pierwszą oskarżycielką, ona mówiła mu, jaką krzywdę niegdyś jej wyrządził. A on skrzywdził ją powtórnie.

- Dlaczego mnie nie zadenuncjowałeś? Dlaczego skłamałeś? Dlaczego chroniłeś pirata? Mogłeś przecież powiedzieć, że to nieprawda, że zasłaniał się tobą.

Spojrzała mu w oczy, przygryzła wargę.

- Nie jestem tak bezwzględna i okrutna jak ty. Nie chcę, żebyś zawisł na szubienicy.

- Dziękuję.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Miałam ochotę cię wydać, ogłosić wszem i wobec, że zrujnowałeś mi życie. Nie łudź się. Po prostu zabrakło mi siły.

- I tak dziękuję.

- Nie ma w Ludlow nikogo, kto mógłby poręczyć za ciebie?

- Nikogo.

- Nikt nie jest w stanie ci pomóc?

- Nikt.

- Może księżna Kestrel, choćby przez wzgląd na mnie?

- Ona nie może. - Daniel potarł czoło. - Z pewnością się domyśla, kim naprawdę jestem, niemniej nie będzie się mieszała w sprawę. Przez ostatnich pięć lat współpracowałem z Justinem, ale on też już nic nie jest w stanie zrobić. Proponował mi odpuszczenie win, a ja odrzuciłem ofertę, co oznacza, że jestem zdany wyłącznie na siebie.

- Współpracowałeś z Justinem? - spytała zdumiona.

- Tak. - Zawahał się, ale już nie było sensu ukrywać prawdy przed Lucindą. - Wspomniałaś dzisiaj, iż doszły cię pogłoski, jakobym pracował dla rządu. Tak było w istocie. Nie jestem zdrajcą, Lucy. Przez całą tę wojnę, wykonywałem zadania dla naszego kraju.

- A więc nie jesteś szpiegiem?

- Jestem, tyle że angielskim.

- A piractwo?

- Nie, nie. Jestem... czy też raczej byłem... korsarzem Jego Królewskiej Mości i dręcę flotę francuską, jak tylko mogę.

- Przemyt?

- Przemyciałem uchodźców francuskich do Anglii. - Wzruszył ramionami. - Szmuglowałem też koniak. Jestem przestępcą.

- Och, Danielu!

Przez chwilę miał wrażenie, że Lucinda rzuci mu się w ramiona, ale posłała mu tylko gniewne spojrzenie.

- Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi prawdy? Dlaczego pozwoliłeś, bym myślała o tobie najgorsze rzeczy?

Ujął jej dłoń.

- Chciałem, żebyś poszła swoją drogą i nie zaprzętała sobie mną głowy. To nie takie proste, jak ci się wydaje, Lucy. Owszem, pracowałem dla admiralicji, ale dopuszczałem się różnych nieprawości. Jestem przestępcą - powtórzył. - Wszystko,

o co mnie oskarżałaś, egoizm, lekkomyślność, poszukiwanie niebezpieczeństw, to wszystko prawda.

W jej oczach pojawił się błysk.

- Admiralicja nie może cię tak zostawić, pracowałeś przecież dla nich. Justin powinien się wstydzić, jeśli pozwoli ci zawisnąć na stryczku.

Danielowi drgnęły usta w powstrzymany uśmiech.

- Masz niezwykle poczucie sprawiedliwości, Lucy, nie zapominaj jednak, że zrujnowałem ci życie. Jestem tak niegodziwy jak w twoich oskarżeniach.

- To prawda. Jesteś kłamcą i oszustem, nawet jeśli nie jesteś zdrajcą.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem.

Odwróciła głowę.

- Jeśli Justin ci nie pomoże, spędzimy kilka dni w tym czyścicu, a kiedy okaże się, że żaden Jackson Raleigh nie istnieje... wtedy oboje zawiśniemy.

- Na to się zanosi. - Uścisnął jej dłoń.

- Musimy stąd uciec.

- Uciec?

- Oczywiście. I to jak najszybciej. Musimy działać przez zaskoczenie.

Lucinda uniosła brwi.

- Rozumiem. Podziwiam twoją wiarę w powodzenie. Jak zamierzasz zrealizować swój przebiegły plan?

- Nie wiem jeszcze - przyznał szczerze. - Coś wymyślę.

- Już nabieram otuchy - mruknęła z przekąsem.

Objął ją ramieniem.

- Cokolwiek się stanie, będziesz ze mną.

- Mowy nie ma! - zachnęła się. - Niby z jakiej racji?

- Ponieważ zrujnowałem ci życie, jak trafnie zauważyłaś - oznajmił spokojnie.

Wiedział jedno, musi ratować Lucindę. Zbyt wiele złego jej wyrządził i nadeszła

pora, by naprawić krzywdy, postąpić godziwie. - Uciekniemy razem i pobierzemy się.

- Skąd pewność, że cię zechcę? - spytała z godnością. - Nie jesteś zbyt ciekawą partią.

Daniel wyszczerzył zęby.

- Wierz mi, lepiej zostać moją żoną, niż opiekować się córeczkami panów szlachty.

- Zawsze trwałeś w przekonaniu, że żadna ci się nie oprze - rzuciła ze złością.
- Wprost nie mogę uwierzyć, że areszt to dla ciebie okazja, by uderzać w konkury. Nie wyjdę za ciebie, Danielu. To moja ostateczna odpowiedź. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialnym człowiekiem, musiałabym być szalona albo bardzo zdesperowana, a może jedno i drugie, żeby przyjąć twoją propozycję.

Myślał szybko: jeśli dojdzie do najgorszego, spróbuje sprzedać informacje w zamian za uwolnienie Lucindy. Justin i Sally pomogą jej, nawet jeśli jemu nie zamierzali pomóc. Będzie mogła pojechać do Allendale i zająć się dobrami odziedziczonymi po Gideonie, którymi on nie chciał się zajmować. Będzie bezpieczna...

- Wyjdź za mnie - powtórzył. - Proszę, Lucy. Tylko tak mogę naprawić wyrządzone ci krzywdy.

- Nie chcę być żoną pirata. Jeśli wyjdę za ciebie, będę musiała pływać razem z tobą, a do tego zupełnie się nie nadaję. To cud, że nie rozchorowałam się na pokładzie „Defiance”.

- Wciąż się kłócisz, zamiast spokojnie wysłuchać, co mam do powiedzenia. Nie musisz wcale pływać ze mną. Miesiąc temu odziedziczyłem po moim kuzynie włości Allendale. Mogłabyś tam zamieszkać...

- Jesteś teraz lordem? Lord Allendale to ty? - Zrobiła wielkie oczy.

- Owszem, i potrzebuję kogoś zaufanego, kto zająłby się majątkiem.

- Potrzebny ci zatem rządcą, nie żona. - Przyglądała mu się przez chwilę, posmutniała i podjęła innym już tonem: - Nie mogę wyjść za ciebie, Danielu. Nie prosz mnie. To prawda, że jesteś mi bliski i że cię pragnę. - Zaczerwieniła się, a on miał ochotę ją ucałować. - A jednak nie mam do ciebie zaufania. Zawsze będziesz stawiał własne dobro na pierwszym miejscu. W tej materii nic się nie zmieniłeś i już się nie zmienisz. Nie pozwolę, byś znowu złamał mi serce.

Podniosła się, wygładziła suknię i podeszła do okna. Stała tak, odwrócona do niego plecami, obejmując ramiona dłońmi, jakby było jej zimno. Chciał podejść do niej, objąć, pocieszyć, ale wiedział, że nie pozwoli się dotknąć. Co mógł jej powiedzieć? Że tym razem będzie inaczej? Że jest mu droga i nigdy już nie zada jej bólu? To wszystko prawda, ale na zaufanie trzeba zasłużyć, a on nie miał prawa niczego oczekiwać od Lucindy.

- Popatrz! - zawołała podnieconym głosem. - Spadł śnieg. - I po chwili: - Nie ma krat - zauważyła wreszcie to, co Daniela uderzyło, gdy tylko wprowadzono ich do pokoju.

- Ale okno jest za wysoko, by nim uciec. To byłby skok może nawet z piętnastu stóp na twardą ziemię.

Lucinda puściła tę uwagę mimo uszu.

- Wychodzi na tyły budynku, a w drzwiach nie ma wizjera. Nikt nas nie będzie widział. Ani widział, ani słyszał, bo strażnik siedzi na końcu korytarza.

- Interesujące... - przytaknął z uśmiechem. - Podsuwasz mi pomysły, Lucy.

- Nie czaruj mnie, tylko myśl o ucieczce! - zbesztła go. - Pan Chance wykazał się niezwykłym wprost brakiem przezorności, zamykając nas w tak źle strzeżonym miejscu.

- To oczywiste, ma cię za stateczną wdowę - zauważył Daniel z przekąsem. - Dobrze zrobiłem, gdy cię wskazałem jako poręczycielkę mych słów.

Zerknęła tylko na niego i zaczęła drzeć sute spódnice sukni. Pasy jedwabiu wiązała z sobą, by upleść linę. W efekcie tych twórczych zatrudnień została w

samych halkach i staniku od sukni. Daniel spojrzął na jej zgrabne nogi i poczuł suchość w gardle.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - wyjąkał w końcu.

Lucinda otworzyła okno.

- Gdyby wszedł strażnik, zdziel go krzesłem w głowę - poinstruowała pirata. - Tylko uważaj, nie zabij go. Nie chcę być oskarżona o morderstwo.

Daniel uniósł brwi.

- Lucindo...

- Szaa... - Przywiązała linę do stołu, zablokowała go pod parapetem, pociągnęła linę dla sprawdzenia węzłów i przesadziła nogi na zewnątrz. Daniel zapomniał, że ma stać przy drzwiach z krzesłem, tylko podbiegł do okna. Zasapana Lucinda stała już na dole...

Podniosła głowę, otarła płatki śniegu z twarzy i zawołała teatralnym szeptem:

- Schodzisz, czy będziesz czekał na wyroki Jego Królewskiej Mości?

Lina zerwała się, kiedy Daniel był w połowie drogi. Wylądował w śniegu i było to dość bolesne lądowanie. Lucinda przyskoczyła do niego, pociągnęła, by wstał, i zaczęła otrząpywać tak gwałtownie, że aż się skrzywił.

- Auuu! Delikatniej. - Spojrzął na nią. Z płatkami śniegu we włosach wyglądała uroczo. - Nie doceniałem cię, Lucy. Masz wrodzone predyspozycje na złoczyńcę. Dawno powinnaś była zaciągnąć się na mój statek.

Posłała mu krzywe spojrzenie.

- Będziemy tu sobie gawędzić w oczekiwaniu na strażników, czy może wynajmiemy konie w zajeździe nieopodal?

- Chciałaś powiedzieć, ukradniemy.

Wskazała przytroczoną do pasa sakiewkę.

- Mam pieniądze. Nie dokładajmy jeszcze kradzieży do naszych przewin.

- Absolutnie. - Porwał ją w ramiona i pocałował. - Jesteś wspaniała, Lucy.

Trwała przez chwilę w jego ramionach, nie wzbraniając się od pocałunku, ale na koniec nie mogła odmówić sobie drobnej złośliwości:

- Dziwię się, że tak długo zażywałeś wolności, zważywszy na twój brak pomysłowości oraz zdolność do marnowania czasu.

Zaczęła drzeć z zimna, więc Daniel zarzucił jej swój kaftan na ramiona.

- Zaczekaj tu na mnie, przyprowadzę konie... - zaczął, gdy coś wyczuła i odwróciła się raptownie, zanim zdążył dojrzeć sylwetkę wyłaniającą się zza węgła. Zasłonił sobą Lucindę i wtedy rozpoznał, kto ku nim idzie.

- Dobry wieczór, sir, dobry wieczór, madame. - Holroyd uśmiechnął się od ucha do ucha,

- Cieszę się, że państwa widzę. Księżna Kestrel kłania się uprzejmie i przysyła sanie.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lucinda, chociaż opatulona futrami, w które przezornie zaopatrzone sanie, trzęsła się całą drogę z zimna. Może zresztą nie tyle z zimna, co pod wpływem szoku. Sanie były cudne i bardzo wygodne, zgrabny powozik na płozach przykryty skórzaną budką. Już sam fakt, że księżna przysłała ekwipaż, napawał Lucinę otuchą, że feralna przygoda znajdzie szczęśliwe zakończenie. Nigdy bardziej nie potrzebowała pomocy niż teraz.

Uciekła z aresztu, pomyśleć! Ba, sama zaaranżowała ucieczkę i pociągnęła za sobą Daniela. Była skończona, reputacja legła w gruzach. Wkrótce jej podobizna pojawi się na afiszach, opatrzona wielkim napisem „Ścigana”. A najdziwniejsze było w całej tej awanturze to, że czuła się podniecona, ożywiona, wolna od sztywnych, głupich zasad, które rządziły jej egzystencją guwernantki i przyzwoitki. Oczywiście była zatrwożona, ale też zafascynowana swoim postępkiem.

Całkiem zwariowała.

Kocha go.

Zamknęła oczy, jakby chciała oddalić tę myśl od siebie. To być nie może. A jednak. Przypomniała sobie straszny moment w sali balowej, kiedy oczami wyobraźni widziała już Daniela na szubienicy. Przerazający obraz. Wszystko, tylko nie to. Był samolubnym łotrem, przemytnikiem i pędziwiatrem. Był groźny, nie zmieniała zdania w tej materii, ale to nie miało żadnego znaczenia. Kochała go, kochała przed laty i kochała teraz.

Co nie oznaczało, oczywiście, że ma za niego wyjść. Daniel twierdził, że powinni się pobrać, bo tylko tak mogła uratować swoją reputację, jakby małżeństwo z piratem samo w sobie nie było potężnym skandalem. Rodzice przewróciliby się w grobie. Jakby tego było mało, Daniel wcale nie chciał się żenić. W jego życiu nie było miejsca na małżeństwo. Poza tym kobieta na morzu przynosi pecha, a ona już

na pewno przynosiłaby go całej załodze. No i ta jej skłonność do choroby morskiej! Robiło się jej niedobrze, kiedy wsiadała do łódki, żeby popływać po stawie, co dopiero mówić o żeglowaniu po otwartym morzu. Mogłaby, jak proponował Daniel, zamieszkać w Allendale, ale nie miała ochoty siedzieć w domu i rozmyślać, gdzie jest ten szalapat jej małżonek i co akurat porabia. Nie tak sobie wyobrażała życie rodzinne.

Przede wszystkim podejrzewała jednak, że jeśli wyjdzie za Daniela, będzie mu ciężarem. Ożeni się z nią z konieczności, a ona okaże się nie tą, z którą chciałby spędzić resztę życia. Zresztą po co żona człowiekowi, który żegluje po morzach i dla którego najważniejsza jest swoboda? Była na tyle dojrzała i dumna, by nie godzić się na zajmowania drugiego po „Defiance” miejsca w życiu Daniela. Bo też statek, morze i przygoda były dla niego ważniejsze nad wszystko inne. Kochała go, ale nie mogła pozwolić, by znowu ją zranił.

Sanie zwolniły, po czym zatrzymały się gwałtownie i Daniel wyskoczył na drogę. Słyszała, że z kimś rozmawia, po chwili był już z powrotem przy niej, otrzepując się ze śniegu niczym pies z wody.

- Tak zasypało trakt, że dalej nie pojedziemy - powiedział. - Holroyd poszedł pieszo na statek.

Lucinda chciała wysiadać.

- Powinniśmy zrobić to samo...

Jednak Daniel powstrzymał ją zdecydowanym gestem.

- Nigdzie nie pójdziemy. Śniegu wyżej kolan, a ty w samych halkach i balowych pantofelkach. Musimy czekać, aż zawieja ustanie.

- Nie możemy tak tu siedzieć. Na pewno już nas szukają.

- Pogoda tak samo im nie sprzyja i pewnie nawet nie myślą o pościgu. -

Ściągnął kaftan i buty. - Konia zaprowadziłem do pustej szopy nieopodal. Przesłanie padać, to pójdziemy nad zatoczkę, to niedaleko. - Wsunął się pod futra.

Lucinda odsunęła się w kąć sań.

- Co ty robisz? - parsknęła.

- Chronię się przed zimnem - poinformował ją. - Chcesz, żebym marzył całą noc?

Podciągnęła futra pod brodę.

- Nie powinieneś iść z Holroydem? Mogę tu zostać sama. - Głęboko odetchnęła. Może właśnie teraz powinna powiedzieć Danielowi, jak się zapatruje na jego propozycję. - Przemyslałam wszystko i mam pewien korzystny dla nas obojga plan. Wrócisz na „Defiance”, a mnie z pewnością niedługo ktoś odnajdzie. Powiem, że wcale nie jestem twoją narzeczoną, tylko zmusiłeś mnie do kłamstwa, więc moja wina żadna...

Milczał jak zakłęty. Nie widziała dobrze jego twarzy w mroku, ale wyczuwała, że nie posiada się z oburzenia.

- Niech spróbuję cię zrozumieć - przemówił wreszcie. - Oskarżasz mnie cały czas, że niegdyś cię opuściłem, a teraz proponujesz, żebym zachował się jak skończony łajdak, zostawiając cię na środku drogi, nie wiedząc, kto i kiedy cię odnajdzie. Mam wracać na statek, odpłynąć i pozwolić, byś ponosiła wszystkie konsekwencje dzisiejszej historii?

Nigdy jeszcze nie słyszała takiej wściekłości w jego głosie. Raz tylko może, gdy miała czternaście lat i zrugął ją jakiś chłop, bo próbowała wyprząc z jego pługą sterane śmiertelnie woły. Daniel zaczął wtedy strasznie krzyczeć na głupiego kmiecia, groził mu śmiercią lub kalectwem.

- Myślałam, że to dobry plan - oznajmiła, szcękając zębami.

- To najgłupszy plan, o jakim słyszałem. Pozwól mi chociaż raz w życiu zachować się przyzwoicie, Lucy - wycedził przez zęby.

- Ale...

- Zostanę z tobą! I dość tej dyskusji. Kiedy przestanie padać, wrócisz ze mną na statek, a potem się pobierzemy.

Wyprostowała się raptownie.

- Chwileczkę, powoli! To niepotrzebne. Już ci powiedziałam, że nie wyjdę za ciebie, Danielu.

- A właśnie że wyjdiesz. Jako kapitan mam prawo udzielać ślubów i pierwszego udzielę nam.

- To na pewno wbrew prawu. - Miała nadzieję, że tak jest w istocie.

Daniel nie słuchał, tylko przygarnął ją do siebie i splótł nogi z jej nogami. Biedna czuła suchość w gardle, serce zaczęło walić jak oszalałe. Próbowwała go odepchnąć.

- Jesteś przemarznięta i w szoku. Nie martw się i pozwól, żebym cię ogrzał.

- Nie chcę, żebyś mnie ogrzewał. I nie chcę, żebyś się ze mną żenił. I nie dopuszczę, żebyś zachował się, jak to nazywasz, przyzwoicie.

Z uśmiechem sięgnął do kieszeni.

- Napij się koniaku, Lucy, i przestań się ze mną kłócić. Jestem równie uparty jak ty, jeśli nie bardziej.

- To koniak z przemytu?

- Owszem. Pij.

- Nienawidzę koniaku. - Przytknęła jednak piersiówkę do ust i po chwili poczuła ciepło rozchodzące się po całym ciele. Co za miłe odprężenie. - Hm, całkiem niezły.

- Wybornie.

- Ale i tak nie wyjdę za ciebie, więc nie próbuj mnie upić i przekonywać do tego absurdalnego małżeństwa.

Wyjął jej z dłoni flaszeczkę, schował do kieszeni, odrzucił kaftan w kąt i spytał uprzejmie panią wdowę:

- Masz coś jeszcze do powiedzenia w tym temacie?

Lucindzie kręciło się w głowie. Miała mnóstwo do powiedzenia, ale nie mogła się wysłowić, wszystkie argumenty umykały, nie mogła zebrać myśli.

- Przecież niepotrzebna ci żona - bąknęła w końcu.

- Ty mi jesteś potrzebna.

Zaczął ją całować, pieścić i po chwili zapomnieli się ze szczętem, świat wokół przestał istnieć.

Och, jak bardzo pragnęła tej rozkoszy, nie podejrzewała nawet, że mogą istnieć tak niezwykle doznania, tak cudowne uniesienia.

W końcu wyczerpana oparła głowę na jego piersi.

- Oddałabym wszystko, byle mieć ciebie - szepnęła niepewna, czy Daniel ją słyszy, czy też zasnął już może, syty jak ona miłości.

Słyszał. Westchnął zadowolony i przygarnął ją bliżej.

- A ja bosso poniósłbym cię na kraj świata - mruknął, ukrywając twarz w jej włosach.

Zasnęła. Śniła o smukłych żaglowcach i bezkresnych przestrzeniach, hen, aż po dalekie widnokregi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Daniel gwizdał cicho, zadając koniowi obroku i sprawdzając, co też Holroyd przywiózł z sobą do jedzenia, kiedy śpieszył na pomoc dwójce uciekinierów. Ranek wstał rzeński, słoneczny, świeży śnieg oslepił bielą. Świat jakby narodził się na nowo, tak odmienny tylko dlatego, że pojawiła się w nim znowu Lucinda.

Jedyna kobieta, której pragnął. Jedyna, którą kiedykolwiek kochał.

Uśmiechnął się. Wczoraj odrzuciła jego propozycję małżeństwa, ale był pewien, że dzisiaj zdoła ją przekonać. Był pewien, że go kocha. Owszem, przyczynił jej wiele cierpienia, więc musi od początku zapracować na jej zaufanie, ale to akurat wydało mu się najbardziej podniecającym i szczytnym wyzwaniem, jakie mógł sobie wyobrazić. Czuł, jak serce wzbiera mu dumą, nadzieją oraz szczęściem. W kącie szopy, gdzie na noc zamknął konia, znalazł wiązkę siana. Skromne śniadanie nie wywarło żadnego wrażenia na klaczy, ale przyjęła je łaskawie ze wzgardliwym prychnięciem. Daniel rozbił lód pokrywający wodę w korycie, poklepał klaczkę, wziął woreczek z chlebem, szynką, cydrem i wrócił do sań. Podniósł budę i znieruchomiał. Sanie były puste, Lucinda zniknęła. Nie mogła uciec, pomyślał. Nie po tym, co się zdarzyło w nocy. To niemożliwe.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, jak mu przedkładała, że powinien ją zostawić, a ona już przekona wszystkich o swej niewinności, bo wszak przymusił ją, by razem wydostali się z aresztu. A więc uczyniła tak, jak mówiła?

Ledwie to pomyślał, zobaczył ostre cięcie nożem przez całą szerokość budy. Wskoczył z sań. Świeży śnieg był zdeптany, można było na nim widzieć odciski stóp, pewnie ślady walki. Obrócił się gwałtownie. Wokół pusto, cicho, nikogo jak okiem sięgnąć. Piękny słoneczny poranek, jakby świat naigrywał się z Daniela. Serce ścisnęło mu przerażenie. Jakim był idiotą, by dopuszczać myśl, że Lucinda uciekła od niego. Jeszcze większym idiotą okazał się, zostawiając ją samą. Czuł się

taki szczęśliwy, że stracił czujność, oślepl, ogłuchł na wszystko inne poza swoją miłością. Tymczasem John Norton, bo to on musiał być, obserwował go cały czas, czekał... Aż wreszcie porwał Lucindę, wiedząc, że w ten sposób najlepiej zemści się na swoim wrogu.

Ale zemsta nie kończyła się na tym, bo oto Daniel usłyszał nadjeżdżających konnych. Zbliżał się Owen Chance z niewielkim oddziałem. Jeszcze chwila i zbrojna grupa otoczyła sanie. Chance miał w dłoni pistolet, pozostali wycelowali w Daniela gotowe do strzału muszkiety. Nie mógł uciekać, nie mógł żadnym sposobem śpieszyć na pomoc Lucindzie. To już koniec.

- Danielu de Lanceyu, aresztuję cię w imieniu króla - przemówił Chance, zeskakując z konia. - Gdzie pani Melville? Co z nią zrobiłeś, łajdaku?

- Norton ją porwał. - Dwóch żołnierzy pochwyciło go pod ramiona i brutalnie obaliło na kolana, skrępowali mu ręce łańcuchem, ale nie zważał na to. - Na litość boską! - zawołał do Owena. - Musimy ją znaleźć. Jechać za Nortone, ścigać go.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, na pewno ją znajdziemy - stwierdził obojętnie.

- Człowieku, nic nie rozumiesz! - zagrzmiał Daniel targany rozpaczą.

Chance odwrócił się, a żołnierze podnieśli Daniela z klęczek. Zamierzali przymocować łańcuch, którym go skrępowali, do siodła, i powlec go tak do aresztu w Woodbridge.

- Norton ucieknie. Z pewnością kieruje się na swój statek. Trzeba go powstrzymać! - wołał Daniel. - Zgwałci ją i zamorduje, zanim zaczniecie jej szukać. To ludzie Nortona przez ostatnie pół roku panoszyli się na wybrzeżu. Na litość boską...

Owen wreszcie się odwrócił i spojrzał na Daniela. Zdawał się rozważać jego słowa. Na moment wróciła nadzieja, ale Chance tylko pokręcił głową z tym samym nieporuszoną wyrazem twarzy.

- Znajdziemy ją - powtórzył.

Sytuacja z każdą chwilą stawała się bardziej beznadziejna. Być może już było za późno na pościg. Mógł błagać, skamleć, Owen nie pozwoli mu ratować Lucindy. Być może w ogóle nie wierzył w wersję Daniela, widząc w jego opowieści jedynie podstęp dający pojmanemu sposobność do ucieczki. Miał wreszcie swoją zdobycz, słynnego pirata, na którego bezskutecznie polował tyle lat, przełykając upokorzenia, znosząc kolejne porażki. Nie wypuści go teraz.

- Proszę - próbował jeszcze Daniel, rozkładając ręce, na ile pozwoliły łańcuchy. - Klnę się na wszystko, że oddam się sprawiedliwości, kiedy tylko ją znajdę i upewnię się, że jest bezpieczna.

Chance zaśmiał się.

- Mam wierzyć słowu pirata i zdrajcy, de Lancey? Zabierajcie go - zwrócił się do swoich ludzi.

Ruszyli powoli, ale nie posunęli się nawet sto jardów, gdy nadjechał galopem samotny jeździec. Wstrzymał konia wprawnym ruchem i zeskoczył z konia. Nie jeździec jednak to był, lecz młoda dziewczyna z rozwianym włosom.

- Panna Saltire? - zdumiał się Owen. - Co pani, na Boga, tu robi?

- Urowadzili Lucindę! - zawołała, chwytając go za ramię. - John Norton ją pojmał i żąda okupu. Musisz coś zrobić, Owenie.

W duszy Daniela nadzieja walczyła z rozpaczą. Jeśli Norton żąda okupu za Lucindę, jest szansa, że nie uczyni jej krzywdy. Lecz szansa to znikoma, bo Daniel zbyt dobrze znał sztuczki starego łotra. Zgwałci ją, zszarga, a kiedy już dostanie okup, rzuci nieszczęsną jej bliskim niczym poleć zepsutego mięsa. Daniel bał się o jej los, a przy tym ogarniała go biała furia i gorycz, że nie może pomóc.

- Na Boga, Chance! - krzyknął. - Nie marnuj czasu, ruszajmy ją odbić.

- Musisz jej pomóc, Chance - wtórowała mu Stacey. - Lucinda jest moją najdroższą przyjaciółką. Nie możemy jej zostawić na łasce okrutnika.

- Wezwę posiłki - powiedział Owen.

- Nie ma czasu - sprzeciwił się Daniel.

Chance spojrzął na bladą twarz Eustachii, na Daniela.

- De Lancey, skąd mam wiedzieć, że nie jesteś w zмовie z Nortonem, i że to nie jakiś podstęp?

- Nie możesz tego wiedzieć. - Mimo mrozu pot sływał Danielowi po plecach.

- Wiedz jednak, że ją kocham. Jeśli potrafisz to zrozumieć, błagam, pomóż. Zaległo długie milczenie.

- Weźmiemy „Defiance”. - Podszedł do Daniela. - Odnajdziesz i uwolnisz panią Melville, a potem oddasz się w ręce sprawiedliwości. Taką zawieramy umowę.

- Przysięgam na wszystko, że ci nie ucieknę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu Owen polecił:

- Zdejmijcie mu łańcuch. - W ciemnych oczach błysnęła iskierka rozbawienia.

- Nigdy nie sądziłem, że zrobię coś podobnego.

- Och, dziękuję. - Rozpromieniona Eustachia z tej wielkiej radości pocałowała Owena w policzek, a on pochwycił pannę w ramiona i oddał pocałunek z całą namiętnością.

Żołnierze powściągali uśmiechy, a Daniel niecierpliwość, która gnała go już na poszukiwanie.

- Będzie na to czas później - burknął.

Stacey obróciła się ku niemu z uśmiechem i powiedziała:

- Powodzenia, odbijcie ją.

Ciągle oszołomiony pocałunkiem Chance wypuścił wreszcie pannę z objęć.

- Na co czekamy? - rzucił.

Lucinda czuła się strasznie, ale w jakiś przewrotny sposób była losowi za to wdzięczna. Kiedy tylko postawiła stopę na statku Nortona, zdjęła ją choroba morska i chyba tylko to ją uratowało. Norton, zrazu ogarnięty uczuciem triumfu, że oto ma w swoich rękach „kochankę de Lanceya”, jak ją nazywał, patrzył z jawnym

niesmakiem na paroksyzmy nudności, w końcu zamknął Lucindę w maleńkiej kajucie i zostawił samą sobie.

- Nie łudź się, że de Lancey cię znajdzie - powiedział jeszcze z szyderczym uśmiechem. - Zawiadomiłem straż przybrzeżną i już na pewno go pojмали. Jak przestaniesz wreszcie rzygać, moi chłopcy zabawią się z tobą, a ja zainkasuję pieniądze i wtedy będziesz mogła wrócić do domu.

No więc Lucinda na wszelki wypadek nie miała zamiaru przestać „rzygać”, aczkolwiek po jakimś czasie ataki nudności jakby nieco się uspokoiły. Leżała skulona na podłodze i dziesiątki myśli przemykały jej przez głowę. Chance pojmał Daniela, to pewne, natomiast Norton chciał wziąć za nią okup. Sama już nie wiedziała, czym bardziej była zmartwiona, położeniem Daniela czy własnym. Kto zapłaci okup za biedną guwernantkę bez grosza przy duszy? Za kobietę, która zrujnowała reputację, uciekając z piratem?

Nagle do skołatanej głowy zaczynało docierać, że coś się zmieniło. Ruch statku zdawał się inny, głosy załogi już nie tak pijane, jak wtedy, gdy Norton wprowadzał ją na pokład. Słyszała szybkie kroki, okrzyki... Wtem drzwi kabiny otworzyły się z łoskotem.

- Chodź tu, dziewczko - warknął Norton. - Przydasz się nam na górze.

Silny wiatr smagnął Lucindę w twarz, kiedy wyszła na pokład. Przymknęła oczy, porażona ostrym zimowym światłem, otworzyła je... i wstrzymała oddech. Daleko na zachodzie majaczyło wybrzeże, ledwie cienka kreska na widnokręgu, a wokół szary odmęt i tylko skrzywienie statku tnącego fale. Było w tym coś podniecającego, co pozwalało wreszcie Lucindzie zrozumieć uwodzicielską, nieodpartą siłę morza. Wciągnęła głęboko słone powietrze.

- Dochodzą nas, kapitanie - powiedział sternik z desperacją. - „Defiance” jest szybsza od naszej „Saucy Helen”.

Norton zaklął.

- Jak, do diabła, udało mu się ująć tym razem? Powiedziałem im przecież dokładnie, gdzie go znajdą.

Lucinda odwróciła się gwałtownie. Istotnie, „Defiance” była tuż-tuż i zbliżała się coraz bardziej z każdą sekundą. Można było oglądać niemal każdy szczegół smoka na galionie. Na pokładzie stał Daniel. Czyżby ten obok to Owen Chance? Lucinda zaśmiała się w głos.

Norton już uniósł rękę, chciał ją uderzyć, ale ktoś z załogi krzyknął przeraźliwie, rozległ się potworny trzask i główny maszt runął. Statek zadrżał, w jednej chwili stracił prędkość. „Defiance” była obok, tak blisko, że można było przeskoczyć z pokładu na pokład.

Norton z nożem w dłoni rzucił się ku Lucindzie, ale była szybsza, zrobiła unik, śmignęła obok łotra i ukryła się za stertą skrzyń.

Rozległy się strzały. Lucinda skuliła się, ukryła głowę w ramionach i modliła się cicho. „Saucy Helen” znowu zadrżała, to „Defiance” uderzyła w jej burtę przy abordażu. Rozpoczęła się walka, ale ludzie Nortona nie mieli żadnych szans przeciwko dobrze wyszkolonej załodze Daniela i żołnierzom Owena. Lucinda wychyliła głowę zza skrzyń i zobaczyła, że Norton osuwa się na pokład trafiony w pierś. Zasłoniła oczy.

- To za dobra śmierć dla niego - usłyszała obok siebie jakiś głos i po chwili była już w ramionach Daniela.

Otulił ją opończę i zaczął się dopytywać:

- Nie zrobił ci krzywdy, Lucy? Powiedz prawdę. Jeśli któryś z tych ludzi tknął cię choćby palcem, zabiję...

- Nie, nie. Nic mi nie jest. - Śmiała się i płakała. - Mnie zmogła choroba morska, a oni byli zbyt pijani... Och, Danielu, myślałam, że Chance cię aresztował. Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę.

- Wybacz strzelaninę, ale widziałem, że się skryłaś, więc pomyślałem, że możemy zaryzykować.

- To nie wszystko - szepnęła. - Kocham cię.

Daniel chciał coś powiedzieć, lecz zanim wymówił słowo, zbliżył się Owen Chance.

- Pani Melville. - Skłonił głowę. - Nic się pani nie stało? Wszystko dobrze?

- Znośnie. Dziękuję. - Lucinda stłumiła śmiech. Cóż za dworne powitanie, niby na przyjęciu.

- Cieszę się. Norton nie żyje, jego załoga poddała się. Topsham odprowadzi statek do Felixtowe. Rozumiem, że Holroyd obejmie dowództwo na „Defiance” pod twoją nieobecność, de Lancey?

Daniel skinął głową. Lucinda czuła, że tych dwóch coś sobie przekazuje, posłanie, którego nie rozumiała.

- Lucindo, kochanie, muszę wyjaśnić pewne sprawy z Chance'em. Może zeszłabyś teraz do kabiny?

Zadrzała.

- Nie, zostanę tutaj.

Daniel pocałował ją i odszedł śpiesznie, a ona obserwowała, jak żołnierze sprawnie zakuwają piratów w łańcuchy, jeden obok drugiego, rządkiem na pokładzie, w oczekiwaniu na areszt, jak tylko „Saucy Helen” dotrze do portu.

„Defiance” odpłynęła, znikając jej wkrótce z oczu, ale Daniel został na „Saucy Helen”. Ciekawe, jak doszedł do porozumienia z Owenem? Lucinda była zbyt zmęczona i zbyt szczęśliwa, by się nad tym zastanawiać. Wystarczyło jej przyglądać się temu urodzonemu żeglarzowi, jak przejmuje komendę nad statkiem, jak pięknie nad nim panuje. Był w swoim żywiole, to pewne.

Wpłynęli wkrótce do Felixtowe. Więźniowie zostali zabrani prosto do aresztu, a na nabrzeżu czekał już powóz z Kestrel Court. Lucinda podniosła się i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przemarzła do szpiku kości. Wcześniej, uszczęśliwiona, nie czuła zimna.

Skoro Daniel wyjaśnił swoje sprawy, a najwyraźniej musiał wyjaśnić, będą mogli razem wrócić do Kestrel Court. Niebawem do dworu mieli zjechać Rebeka i jej mąż Lucas. Lucindzie żywiej zabiło serce. Rebeka od lat nie widziała Daniela, teraz wreszcie się spotkają. Mieli sobie tyle do opowiedzenia...

Właśnie podszedł do niej, by sprowadzić ją na nabrzeże, a ona uśmiechnęła się promiennie. Cała miłość była wypisana na jej twarzy, ale Lucinda ani dbała, że ktoś może to widzieć.

Daniel odpowiedział uśmiechem. Tuż za nim szedł Owen Chance, a dalej trzech jego ludzi.

Coś tu było nie tak. Uśmiech zniknął z twarzy Lucindy. Popatrzyła na Daniela, na Owena, na czekających żołnierzy.

- Daj mi moment - zwrócił się Daniel do Owena, po czym ujął dłonie Lucindy. Owen tymczasem cofnął się, dając znak żołnierzom, by i oni odstąpili na stronę.

W jednej chwili pojęła wszystko. Zniknęło szczęście, odleciało uniesienie, przepadła radość. Zawładnął nią straszliwy smutek.

- Nie - zawołała, zanim Daniel zdążył powiedzieć cokolwiek. - Nie. - Wydawało się jej, że woła głośno, ale z gardła dobył się ledwie cichy szept.

Twarz Daniela była szara, zmęczona. Miała ochotę wziąć go w ramiona, przytulić, pocieszyć, ale nie była w stanie.

- To był jedyny sposób, żeby cię ratować, Lucy. Przykro mi. Muszę cię opuścić. Znowu zawiodłem, ale dałem Owenowi słowo.

- Nie mów tak - zaprotestowała gorąco. - Nie mów, że mnie zawiodłeś. Ratowałeś moje życie kosztem własnego. Czy mógłbyś mi ofiarować więcej?

- Zajmiesz się Allendale - mówił Daniel. - To już postanowione. - Objął ją. - Kocham cię, Lucy. Zawsze będę cię kochał. Jesteś teraz moją żoną, opiekuj się Allendale. I chociaż muszę odejść, to jestem cały czas z tobą.

Ukryła głowę na jego piersi.

- Nie - szepnęła. - To nie w porządku. Nie mogą cię traktować jak przestępcy. Pomogłeś im przecież.

- Popeliłem wiele złych rzeczy i koniec końców tylko to się liczy. - Pocałował jej włosy. - A teraz już czas na mnie.

Widziała, jak mu trudno. Pewnie była to najcięższa chwila w jego życiu. Rozumiała jedno: musi mu pomóc. Patrzyła, jak żołnierze zakuwają Daniela w łańcuchy i sprowadzają ze statku. Została sama. Nie pamiętała potem, jak zeszła z pokładu, w każdym razie na nabrzeżu czekała już na nią Sally Kestrel, by zabrać do domu. Księżna otuliła ją opończę i usadowiła w powozie. Lucinda była jej wdzięczna, że wstrzymuje się od rozmowy. Być może później będzie mogła opowiedzieć księżnej, jak się czuje i co dalej zamierza. Księżna na pewno zrozumie. Wiedziała dobrze, co znaczy utracić miłość i odbudowywać swoje życie z ruin. W każdym razie teraz Lucinda nie była w stanie się jej zwierzać. Jeszcze nie.

Droga powrotna zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W domu czekała Eustachia, gotowa zarzucić Lucindę pytaniami, ale księżna dała jej znak głową i słodka buzia Stacey znieruchomiała w bolesnym skurczu. Zbierało się jej na płacz.

- Czy to Rebeka? - spytała Lucinda, gdy dobiegły ją ożywione głosy.

- Przyjechali dzisiaj po południu - odparła księżna.

Lucinda wyprostowała się. Musi powiedzieć najdroższej przyjaciółce, że Daniel został pojmany i czeka go śmierć, a wszystkiemu ona zawiniła. Nie wiedziała, jak zniesie rozpacz Rebeki.

Właśnie weszła do holu. Taka podobna do Daniela z urody i szlachetnego usposobienia. Musiała płakać, ale teraz zdawała się spokojna, jakby wiedziała, że prędzej czy później ten dzień musi nadejść: Daniel pojmany, skazany na szubienicę... Lękała się tej wieści, ale oczekiwała jej od lat.

Lucinda bała się, że jednego dnia straci ukochanego i przyjaciółkę, ale Rebeka podbiegła do niej i uściskała z całych sił.

- Postąpił, jak się należało - szepnęła. - Stacey wszystko nam opowiedziała. Moja najdroższa Lucy, tak mi przykro.

Dopiero teraz Lucinda dała ujście swojej rozpacz. Przyjaciółki trwały tak w serdecznym uścisku połączone wspólnym bólem, aż Lucas Kestrel z właściwą sobie przytomnością umysłu wcisnął im w dłonie po kieliszku koniaku.

- Wypijcie - nakazał surowo. - Justin pojechał do Londynu, zobaczymy, z czym wróci. - Podniósł swój kieliszek. - Za Daniela de Lanceya. Gra jeszcze nie jest skończona.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Nadeszła Wigilia. Dzień był jasny, słoneczny. Po południu Lucinda usłyszała podjeżdżający powóz, potem głosy Justina i witającej go Sally. Siedziała w swoim pokoju i usiłowała czytać. Od pojmania Daniela minęły dwa tygodnie. Słabo spała, sporo rozmawiała z Rebeką, nade wszystko zaś wbrew wszelkim racjonalnym przesłankom wierzyła, że Justin Kestrel jakimś sposobem uratuje Daniela, jak to zakładał Lucas.

Sprawy wyglądały kiepsko, bo dla piratów nie było litości. Justin ofiarował już Danielowi szansę przebaczenia, ale ją odrzucił. Smutne miały to być święta.

Usłyszała śmiech, podniecone głosy, tupot nóg na korytarzu i po chwili do pokoju Lucindy wbiegły Sally i Rebeka. Były podniecone niczym dzierlatki.

- Uciekł! - zawołała Rebeka, porwała Lucinę w ramiona i odtańczyła z nią szalony taniec. - Uciekł dwa dni temu, kiedy wieźli go na proces do Londynu.

Lucinda, z sercem przepelnionym nadzieją, spojrzała na Sally, szukając u niej potwierdzenia.

- To prawda - przyświadczyła księżna. - Nie pytaj mnie, jak to się stało. Podejrzewam, że Owen Chance puścił go wolno, choć nigdy się do tego nie przyzna. Zważ na to, że Stacey nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby postąpił inaczej. Biedak nie miał wyjścia.

Lucinda powściągnęła radosny uśmiech.

- Mam nadzieję, że pani Saltire zmieni wreszcie zdanie i pozwoli im się pobrać. - Stacey była w niełasce u matki od momentu, gdy zerwała zaręczyny z panem Leytonstone'em, a po Woodbridge zaczęły krążyć opowieści o namiętnej miłości oficera straży i młodej panny.

- Owszem. - Sally uśmiechnęła się przebiegle. - Rano przypomniałam jej, że Owen Chance jest spokrewniony z Oliverami i ma bogatego wuja, po którym z całą pewnością będzie dziedziczył.

- Zostawmy na razie pana Chance'a. - Rebeka pociągnęła Lucindę i przysiadła z nią na łóżku. - Co zamierzasz, Lucy? Jeśli Daniel się tu pojawi, pójdiesz za nim?

Ochłonęła trochę. Daniel nadal pozostawał przestępcą wyjętym spod prawa. Był dwukrotnym zbiegiem, człowiekiem ściganym.

- Mam nadzieję, że się tu nie pojawi. Nie zniósłabym, gdyby miał zostać pojmany z mojego powodu.

- Co zrobisz, Lucy? - naciskała Rebeka.

- Pojadę do Allandale, jak mnie prosił Daniel. - Dojrzała zrozumienie na twarzy Sally. Tego ranka zawierzyła jej swój największy sekret. Spodziewała się dziecka Daniela, była prawie pewna, że jest w ciąży. Księżna wysłuchała jej z całą serdecznością, nie osądzała, ale była zdania, że Lucinda powinna wyjechać, zanim jej stan zacznie być widoczny.

- Tak powinnaś postąpić - powiedziała teraz. - To jedna ze spraw, którą Justin omawiał w Londynie. Powinnaś z nim porozmawiać. Sam wspominał, że chciałby się z tobą widzieć. Ma coś dla ciebie.

Kiedy Lucinda została sama, podeszła do okna i zapatrzyła się w dal. Minęło sześć tygodni od tamtej nocy, gdy spotkała w parku Daniela. Gdzie on jest teraz? Zeszła na dół, by zobaczyć się z księciem.

Podniósł się zza biurka, gdy weszła do biblioteki.

- Szklaneczkę brandy, pani Melville?

- Nie, dziękuję - odparła z uśmiechem. - Muszę mieć jasny umysł.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli sobie naleję?

- Oczywiście, że nie.

Justin podniósł szklaneczkę.

- Za przyszłość, pani Melville. Słyszałaś zapewne, że lord Allandale zbiegł?

- Tak, słyszałam, milordzie. - Trochę dziwne się jej wydało, że nawiązał do tego wyczynu Daniela, wszak jako lord był jednym ze strażników prawa i porządku w Koronie.

Sięgnął po niewielki pakiet.

- Chciałem to pani przekazać. Gdybyś widziała lorda Allandale'a, oddaj mu to.
- Uśmiechał się zagadkowo.

- Zrobię co w mojej mocy, milordzie, ale nie sądzę, bym miała go ujrzeć. Jest poszukiwany, z pewnością będzie się ukrywał.

- Kto wie... - Justin podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na morze. - Człowiek zakochany będzie wracał tam, gdzie zostawił serce. Zbliża się przyływ - zauważył pozornie od rzeczy.

- Pójdę już. - Lucinda podniosła się z fotela.

- Proszę pamiętać o paczce. To prezent pod choinkę. Może prezent ślubny.

- Dziękuję. Proszę złożyć wszystkim życzenia. - Wiedziona impulsem, pocałowała księcia.

- Mam nadzieję, że niebawem znów się zobaczymy - mruknął.

Wróciła do pokoju, wyciągnęła spod łóżka ciężki sakwojaż i zawahała się. Jeśli ma wyjeżdżać, powinna to zrobić niezwłocznie, bez zbędnych bagaży. Instrukcje Justina były całkiem jasne i winna się do nich zastosować, zbierając całą konieczną odwagę. Z dołu doszły ją strzępy ożywionej rozmowy.

- Gdzie jest Lucinda? Myślałam, że się do nas przyłączy... - Drzwi się zamknęły, nie słyszała już dalszego ciągu.

Powinna zostawić list swoim przyjaciółkom, nie mogła opuścić ich ot tak, bez jednego słowa. Odchodziła na niepewną przyszłość, nie wiedziała, co ją czeka. Jeśli dobrze zrozumiała Justina, Daniel już zapewne na nią czekał.

„Oddam wszystko, byle być z tobą”.

Te słowa powiedziała tamtej nocy, kiedy poczęło się ich dziecko. Nie wyobrażała sobie życia bez Daniela, ale czy starczy jej odwagi? - Czy dość jest pewna jego miłości?

Nie zastanawiaj się, ponagliła się. Zapewniał, że cię kocha i że będzie kochał zawsze. Chwyliła pióro.

Dwie minuty później zbiegła na parter, zostawiła list na srebrnej tacy w holu i wzięła latarnię. Stąpała po świeżym śniegu, pantofelki w mig przemokły. Nieważne. Daniel powiedział, że weźmie ją nawet bosą. Teraz będzie musiał literalnie spełnić obietnicę. Szła szybko w stronę zatoki, odgarniając gałęzie. Zapadał zmierzch, robiło się coraz ciemniej. Jeśli pływ się odwrócił... Nie chciała o tym myśleć. Justin mówił, że właśnie zaczyna się wysoka woda.

Wyszła z lasu. Istotnie, była wysoka woda, ale ani śladu „Defiance”. Tłumiąc szloch, zaczęła biec ścieżką. Wreszcie, gdy dotarła do zatoki, zobaczyła statek. Był jasno oświetlony, kotwiczył jakieś ćwierć mili od brzegu.

To głupie i absurdalne, ale weszła do lodowatej wody, jakby chciała dogonić żaglowiec. Odmęt wciągał ją powoli, chwiała się obmywana falami. Czy ktoś znajdzie kiedyś jej ciało? A jeśli nawet, co sobie pomyśli?

Przecież zawsze była taka rozsądna... Kto by pomyślał...

Wtem ktoś chwycił ją mocno i wyciągnął z wody, chociaż się opierała, szarpała i kopała. A potem wrzucił bezceremonialnie do szalupy.

- Co ty tu robisz, do diaska?

Daniel. Poczowała ogromną ulgę, miała wrażenie, że zaraz się rozplacze.

- Szukałam cię.

Widziała, że jest wściekły, ale po chwili jego twarz rozpromieniła się szczęściem.

- I ja szukałem ciebie. - Drżącą dłonią odgarnął jej mokre włosy z czoła. - Oszalałaś, Lucy. Mogłaś się utopić.

- Wiem. - Uśmiechnęła się trochę głupawo. - Ale ty mnie uratowałeś.

Gdy ją pocałował, poczuła się tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy w swym życiu.

- Wracajmy na statek, zanim umrzesz z wyziębienia.

Niemądry uśmiezek nie zniknął z jej twarzy.

- Nic mi nie jest. Ciepło mi. Czuję się świetnie.

Daniel zaśmiał się i rzucił krótki rozkaz. Zatrzeszczały wiosła w dulkach i szalupa zaczęła płynąć ku „Defiance”. Lucinda natychmiast poczuła wzbierające nudności, ale nie zważała na nic. Daniel był przy niej i tylko to się liczyło. Dopiero teraz zaczęła szcząkać zębami. Daniel otulił ją pledem, ale palce miała tak zgrabiałe, jakby były z lodu.

Na statku napił ją gorącą zupą. Przypomniała sobie o pakiecie, który wręczył jej Justin z prośbą o przekazanie Danielowi. Okazało się, że były w nim dokumenty.

- Wszystko się pewnie rozmazało - jęknęła zmartwiona. - Przepraszam, nie wiedziałam, co jest w środku.

- Justin dobrze je zapakował, nie przemokły. Wiedział, że mogą być narażone na różne przygody, kiedy ci je dawał. - Rozłożył duży arkusz i znieruchomiał.

- Co tam wyczytałeś? - niecierpliwiła się Lucinda.

- To królewski akt łaski, a także propozycja powrotu do służby we flocie Korony. Król pisze, że trzeba mu dobrych żeglarzy i nie chce mnie tracić. Nalega, bym przemyślał raz jeszcze ofertę, którą złożył mi Justin. - Zaśmiał się z niejakim ociąganiem. - Pisze też, że źle świadczyłoby o kraju mieć pośród szlachty przestępcę. Domaga się, bym przyjął tytuł, należne mi w spadku majątności i wybrał sobie żonę. - Oczy mu rozbłysły. - Prosi też o butelkę „całkiem przedniego francuskiego koniaku”, jak go nazywa, zanim porzucę swój niechlubny proceder.

Powoli odłożyła łyżkę.

- Nie rozumiem. Jeśli Justin Kestrel wiedział, że winy zostały ci wybaczone, dlaczego nie powiedział o tym Owenowi, tylko pozwolił, byś uciekał jak najgorszy zbieg?

- Kiedy poprzednio złożył mi ofertę, odrzuciłem ją. Myślałem, że nie potrafię rozstać się z dotychczasowym życiem. - Podał Lucindzie krótki list od Kestrela. - Píše, że chciał mi zostawić wybór. Wiedział, że po tylu latach trudno mi będzie żegnać się z piractwem, ale koniec końców wiedział, jaką podejmę decyzję.

- Mianowicie?

Wstał, wsunął ręce do kieszeni.

- Nie będę udawał, że mi łatwo, Lucy. Dziesięć lat parałem się piractwem i polubiłem to. To nic, że zarazem byłem korsarzem Jego Królewskiej Mości... Byłem piratem, panem mórza, człekiem wolnym i niezależnym od nikogo. Ale ty jesteś ważniejsza. Kocham cię. Nie możesz być żoną pirata. Będiesz żoną komandora floty królewskiej.

- Tak. - Łza spłynęła jej po policzku i osoliła zupę. - Choć zawsze dopadnie mnie choroba, będę pływała z tobą, a w przerwach między rejsami będziemy mieszkać w Allendale.

- Moje biedactwo. - Daniel podszedł do koi.

- Teraz też czujesz się niedobrze?

- Nie. Ale przecież nie płyniemy.

- Przeciwnie. Ruszyliśmy, kiedy tylko postawiłaś nogę na pokładzie.

- Och. - Uniosła brwi. - Zatem jestem wyleczona.

- Wiesz, nie będzie łatwo. Sporo ludzi oburzy się, że król darował mi winy, a za granicą wybuchnie skandal, kiedy rozejdzie się wieść, że byłem tajnym agentem Korony. Nie chcę, żebyś cierpiała przez plotki.

- Zniosę wszystko, mając cię przy sobie. Znacznie gorzej byłoby mi wychowywać nasze dziecko samotnie... - Przerwała, widząc osłupienie na twarzy Daniela. - Ach, nie wspomniałam ci? Będziemy mieli dziecko...

Porwał ją w ramiona i pocałował ognście, a potem odsunął się ostrożnie, jakby była z porcelany.

- Nie bój się mnie całować. - Roześmiała się. - Nie stłukę się. Jestem taka szczęśliwa.

- Zawołam Holroyda, niech udzieli nam ślubu. Był kapitanem pod moją nieobecność, dowodził statkiem, ma do tego prawo.

Już wstał, by wołać porucznika, ale Lucinda mocno chwyciła go za rękę i posadziła na powrót na koi.

- Z rozkoszą wezmę ślub na morzu, to bardzo stosowne. Cieszę się, że pragniesz uczynić ze mnie przyzwoitą kobietę, nie zwłócząc ani chwili, ale może najpierw potraktuj mnie jak kobietę nieprzyzwoitą.

W oczach Daniela zabłysło rozbawienie. Nachylił się i pocałował Lucinę.

- Co miałaś na myśli, moja słodka Lucy? - upewniał się jeszcze.

Ujęła jego twarz i oddała pocałunek.

- To właśnie - szepnęła.

Księżstwo Kestrel i ich goście zasiedli właśnie do kolacji, gdy lokaj wniósł na srebrnej tacy list Lucindy.

- Dla panny Saltire - oznajmił.

Stacey przebiegła szybko oczami parę nakreślonych zdań i krzyknęła podniecona:

- A to niesamowite! Kuzynko Sally, mamó! Lucinda uciekła na morze z Danielem de Lanceyem!

Pani Letycja Saltire zemdląła natychmiast i trzeba ją było cucić solami trzeźwiącymi. Lucas ucałował Rebekę, a księżstwo wymienili pełne satysfakcji uśmiechy.

Sally sięgnęła po list Lucindy.

- Musiała się bardzo śpieszyć, bo ledwie mogę odczytać.

- Och, Sally - jęknęła ocucona Letycja Saltire. - Cóż za straszny skandal! Jak ona mogła?

Raz już wystarczyło, ale wtedy mogliśmy przynajmniej udawać, że jest bez winy. Co w nią wstąpiło? Zawsze była taka rozsądna. Kto by pomyślał?

Księżna roześmiała się pogodnie.

- Ot, choćby ja na przykład.

Pani Saltire pokręciła głową.

- Uciekać z mężczyzną! W jej wieku. Dwadzieścia dziewięć lat! Wdówka z odzysku. Co ludzie powiedzą? Co sobie pomyślą?

Rozbawiona księżna spojrzała na męża.

- Elopada, słowo rzadkie, znane tylko wtajemniczonym. Oznacza ucieczkę z ukochanym mężczyzną. Rzecz całkiem zabawna, wierzcie mi. Dobrze uczyniła Lucinda!

- Szczęśliwych Świąt im obojgu - dodał książę.

- Och - westchnęła Sally. - Myślę, że są naprawdę bardzo szczęśliwi.

Podeszła do okna, odciągnęła kotarę. Noc była spokojna, blask księżyca połyskiwał na wodach zatoki, oświetlał majaczący w mroku statek. „Defiance” powoli odpływała.

